Nr. 60. Lwów, Niedziela dnia 20. Października 1878 r. **Tom VII.**



ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA
w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

ORŻNĄŁEM ŻYDA.

HUMORESKA

przez

AUTORA „KŁOPOTÓW STAREGO KOMENDANTA“.

(Ciąg dalszy).

Gdy pani wyszła rozpatrzeć się po gospodarstwie, a głównie zobaczyć, jakie spustoszenie mężulko w owych śliwkach poczynił, pan Eustachy zostawszy sam w kancelaryi, wybuchnął strasznym gniewem, już nie na Goldgarta, nie na wełnę — ale na gazety...

— I trzymajże tu i płać trzy ruble na kwartał za tę bibułę!... A piszą mości dobrodzieju szeroko i głęboko co się tam stało w Ameryce, co robią Serbowie, jak się ziemia trzęsie w Antylach, który koń wygrał na wyścigach w Paryżu, a takiej głupiej rzeczy, jak ceny wełny nie podają... Jak już cały świat wie, że poszła w górę, jak już wszyscy żydzi rozlecą się za kupnem po okolicy — to ci bąkną, że z Australii tego roku kiepsko, bo susza panuje i wełny nie dowiozą. Rychło w czas po śmierci wędrować.

I chodził sobie po pokoju, trąc czuprynę i medytował jakiegoby tu figla Goldgartowi wykroić. Różne przychodziły mu myśli, wśród których mignął się czasem piasek, to znowu kamienie, to wełna z martwicy — jednak trzeba przyznać, że takie propozycye złego ducha odrzucał pan Eustachy z energią. „Niech tam sobie inni robią takie facecye, ale ja panie dobrodzieju nie... Zaproponuję niech dołoży, a jak nie zechce, bądź zdrów panie Goldgart... fora ze dwora.

Można sobie wyobrazić, że nie szczególny musiał mieć humor pan Eustachy przez cały ten dzień i dwa następne kombinując wciąż zemstę nad Goldgartem, a uczucie to jeszcze bardziej się spotęgowało, gdy we środę rano zawitał do Głębockiego dworu pan Herszko, także handlujący zbożem, izraelita, ale już w stroju cywilizowanym. Takich kupców ubranych po naszemu nie cierpiał pan Eustachy. Żyd niech będzie żydem a nie jakimś cudakiem udającym pana... to „ni pies ni wydra, coś nakształt świdra“ — mówił na pociechę kupców starego autoramentu mieszkających w Szarem mieście... Tym razem jednak aby się coś dowiedzieć jak też ta wełna poszła w górę, zaprosił owego Herszka-Henryka do swego pokoju, prosił siedzieć i poczęstował cygarem.

— Cóż tam słychać nowego? — zapytał kupca.

— Dziękować Bogu wszystko dobrze. Z okowitem trochę się rusza... owies idzie w górę, a wielmożny pan ma jeszcze co okowity?

— Będzie ze trzy tysiące garncy...

— Niech wielmożny pan mnie życzy...

— Nie, okowity teraz nie sprzedam.

— To może ze sto korcy pszenicy, może owsa co? Niech ja raz z wielmożnym panem zrobię interes...

— Dałem sobie słowo, że w domu nic nie sprzedam, to tylko oszukaństwo; wolę posłać do miasta, jaka jest cena, to jest, a przynajmniej wiem, że mi dają prawdziwą.

— Z wielmożnym panem, to trudno przyjść do interesu, wielmożny pan trzyma się tego Goldgart, on ma szczęście do wielmożnego pana i nie wiem za co?... Ale, ale czy jaśnie pan trzyma jeszcze te wełnę?

— Trzymam, albo co?

— Ja bym miał na nią zagranicznego kupca, od samego Wrocławia co się nazywa Freind... Pa, pa jakie to wielgie kupiec, jego faktor to już od tygodnia siedzi u nas w mieście i skupuje welnem na całe okoliczność. On mi mówił: panie Herszko, dowiedz się w Głębokiej... Powiem wielmożnemu panu prawdę, on by dał sto czterdzieści złotych, a może i więcej...

Panu Eustachemu, aż się gorąco zrobiło na taką mowę, potarł czuprynę, westchnął zaciskając pięście, i gdyby mu się w tej chwili nawinął ów Goldgart, nie ręczyłbym za całość jego skóry i kości.

— Mój panie kupiec — rzecze do niego z miną widocznie zakłopotaną — słyszałem ci ja o tem, że wełna idzie w górę, ale się zatrzymam jeszcze...

— Ny, na co się zatrzymywać, kiedy dają dobrą cenę? pan Olszowski sprzedał już nowe, pan Złobiński z Kurkowa sprzedał jemu wszystko co miał... Nie radzę wielmożnemu panu czekać... Welne jest kapryśne jak wielkie dame, raz chce, to zaraz znowu nie chce...

— Sprzedam, ale jeszcze parę dni poczekam— odpowiada wciąż zamyślony Eustachy.

— Dlaczego nie zaraz?

— Widzisz kupiec, mam w tem swój interes, proszę cię więc zajrzyj tu w niedzielę a pogadamy... Będzie ze dwieście kamieni.

— Ny, ja wiem dwieście pięć... On bierze na miejscu i na tutejsze wagę — procent trzy tylko...

— Dobrze, przyjedź w niedzielę, albo nawet w piątek... tak, można w piątek...

— Niech wielmożny pan nie zapomni — dodaje Herszko żegnając pana Eustachego — ja przyjadę z kupcem bardzo rano w piątek, bo to jest szabas... Wielmożny pan będzie kontent od tego kupca, on jest bardzo porządne, płaci gotówkiem...

Herszko pojechał, a pan Eustachy już sobie nie mógł dać rady ze sobą... Żebym się miał procesować z tym huncwotem Goldgartem to się będę procesował i trzy lata a wełny nie dam...

Po obiedzie naradzili się oboje z panią Jadwigą, która jeszcze więcej zawzięła się przeciw Goldgartowi, i postanowiono, że pan Eustachy jutro jako w dzień targowy pojedzie do miasteczka z intencyą rozwiązania umowy z Goldgartem. Nie będzie chciał odstąpić dobrowolnie, to złoży się jego zadatek u rejenta, a wełnę bądź co bądź sprzeda się temu kupcowi z Wrocławia.

— Co on nam może zrobić? — mówi pani Jadwiga — dowiedzie mu się, że oszukał i rzecz skończona!...

— Hm, nie tak to łatwo dowieść — mówi pan Eustachy ruszając głową — to wolna wola była... ale zobaczymy... Kiedy on mię zaszedł z mańki i poszachrował, dlaczegoż i ja nie mam trochę pokręcić.

Ponieważ z owego tysiąca rubli zadatku już wydało się parę set na różne potrzeby, zdecydowano, że pan Eustachy weźmie próbkę pszenicy

i sprzeda z niej sto korcy w mieście, aby było czem dołożyć rejentowi...

— Panie Masłowski — rzecze nasz Eustachy do ekonoma — przygotować mi na jutro sporą próbkę pszenicy do woreczka, tak z pół kwarty albo więcej. Tylko proszę asana wyczyścić jak się należy, kilka razy puścić na Pernoleta, żeby żadnego groszku, ani kąkolu nie było.

— Słucham jaśnie pana.

— A Franciszkowi kazać zajechać o ósmej, niech zaprzęgnie tę karę z księżowskim, a księżowskiemu skrócić postronki, bo bestya leniwa.

— Dobrze, jaśnie panie... skróci się...

Nazajutrz o naznaczonej godzinie, wózek już stał przed gankiem, a zgarbiony Franciszek w płaszczu z rzęsisto zapierzoną peleryną, siedział na koźle, od czasu do czasu bijąc się na krzyż rękami dla rozgrzania.

Pan Eustachy otulony w wyrudziałą szubę niedźwiedzią, z fajką odrutowaną mosiężnym drutem, wyszedł prowadzony przez imość, która mu do samego wejścia na stopień bryczki kładła coś w głowę i kładła...

Widać, że tego kładzenia musiało być trochę zanadto, bo nadwerężyło dobry humor małżonka, z którym dostrzegł on zapierzoną pelerynę stangreta.

— A dajcie no tam jaką miotełkę, żeby tego flejtucha oczyścić — woła zatrzymując nogę na stopniu. — Patrzajno co ty masz pierza... A czegoż się tak kulisz, no ruszże się niedźwiedziu...

Franciszek, który sobie już na całą drogę nogi umieścił wygodnie między obrokiem, okutawszy je sianem, nie tak łatwo mógł je wydobyć, gdy rozneglizowana Maryśka, czekała na niego z miotełką. Nareszcie wydobył jedną nogę i tę postawił na przedniem kole, ale co do drugiej, to nie prędko dałby sobie z nią radę, gdyby niecierpliwy pan Eustachy nie porwał go za kołnierz i ściągnął na ziemię... Płaszcz oczyszczony, Franciszek znów kilka minut gramolił się na owo siedzenie, nareszcie odwiązał lejce, wziął bicz do ręki i zrobiwszy znak krzyża świętego, ruszył za bramę.

Pan Eustachy czegoś był zły, a kiedy był zły to gderał. Baba z pustemi konewkami, jak raz przeszła mu drogę, więc stój: „Kobieto wróć mi się zaraz! — krzyknął podnosząc się w siedzeniu. — Kobieta przeszła napowrót z lewej strony ulicy na prawą. Dalej pokazało się, że wypuścili Robinsona i ten dogoniwszy bryczkę, zaczął szczekać z radości harcując przed końmi. „Franciszek stój! — odpędź psa, niech idzie do domu!...“ Biedny Stangret, który nie skończył ponownego okręcania nóg sianem, musiał przerwać tę operacyę, ale nim przywiązał lejce do luśni wózka, nim bat ułożył, Robinson odpędzony przez pana wołaniem „a do domu, a do domu kanalio!“ — schronił się za płot i trzeba go było z tej kryjówki przez cały kwandrans rugować a potem pędzić biczem, aż do bramy dziedzińca, i wołać na owczarza, który stał przy oborze, aby psa w pokoju zamknęli.

W trakcie tych operacyi, szanowny dziedzic miał dość czasu przypatrzyć się pokornej minie karej klaczy, która spuściwszy łeb ku ziemi zdawała się podobnie jak sam dziedzic martwić nad ową sprawą wełnianą.

— Co ona tak skapsoniała? — pyta Eustachy gdy stangret wywindował się jakoś na wózek.

— Jakże nie miała skapsanieć, kiedy ją ekonomski odjada, proszę jaśnie pana — mówi ruszając się z miejsca Franciszek.

— Jak jak? A obróć-że się kpie jakiś z gębą do mnie, kiedy gadasz, a nie brzdąkaj sobie przed nosem, bo nic nie słyszę...

— Ekonomski ją odjada...—powtarza Franciszek odwracając już głowę ku dziedzicowi... Postawił na to mówiąc Masłowski swego konia przy niej, tamten Bóg wie coby zjadł, a ona zwyczajnie jako bobyła, nie może sobie dać rady...

— To czemuż ekonomskiego krótko nie przywiążesz na uździenicy...

— Bogać tam jaśnie panie poradzi co z ekonomem! Co ja mu przyciągnę postronka, to na to mówiąc wpadnie jeden albo drugi Masłoszczak i popuści mu, a sielma koń, to już taki nauczony, że swojego obroku zaraz nie będzie żarł, a ino sięga pyskiem do karej i het ją odjada, aż mu się uszyska trzęsą. Najlepiej jaśnie panie, żeby ekonomskiego wziąć do fornalskiej stajni... bo i z temi chłopakami jego, ani wytrzymania żadnego... Miałem takie dychtowne szydło, to wczoraj inom wyjął z komórki, już na psa poszło...

Prawił jeszcze dość długo w tym sensie przeciw ekonomowi Franciszek, gdy pan Eustachy nie bardzo tego gadania słuchał, ale kalkulował wciąż, jak się tu wziąć do Goldgarta... On mi powie to, ja mu to... on znowu to, a ja mości dobrodzieju krzyknę wont oszuście, i wyrzucę żyda za drzwi... Niech się dzieje co chce, ale mu tej sztuki nie daruję... (C. d. n.)

RZECZ O POJEDYNKU

przez

Dra Józefa Rosenblatta.

(Ciąg dalszy).

III.

Pojedynek w innych krajach europejskich.

W podobny jak we Francyi sposób powstał i szerzył się pojedynek w innych krajach europejskich; pojedynek sądowy mianowicie, znany w wiekach średnich wszystkim niemal ludom europejskim, przeobraził się z biegiem czasu w pojedynek honorowy, na którego szerzenie się wpłynęły nadto znacznie zwyczaje i obyczaje francuskie, które w wieku XVII a głównie w XVIII w innych krajach europejskich zaczęto naśladować.

Dłużej, niż we Francyi utrzymał się pojedynek sądowy w Niemczech; ustawodawstwo niemieckie też później dopiero zwróciło uwagę na szerzące się pojedynki prywatne i później, aniżeli we Francyi, uznało potrzebę zapobieżenia takowym. I tak kodeks Karola V nic o pojedynku nie wspomina, aczkolwiek był on wtedy już często praktykowany, a dopiero w roku 1668 uchwala sejm rzeszy niemieckiej pierwszy edykt przeciwko pojedynkom pod nazwą „ein Verbot des Duellirens, Balgens und Kugelwechselns sowohl überhaupt als besonders auf den Universitäten und Academien.“ Edykt ten, bardzo surowy, stanowi, że wyzywający na pojedynek już za to samo ma być pozbawiony czci i na wygnanie lub karę cielesną a nawet na karę śmierci skazany; podobnej karze ma uledz wyzwany, jeśli się do walki stawi, jakoteż i ci, którzy wyzwania roznoszą. Gdyby wskutek pojedynku nastąpiła śmierć, należy bezwzględnie na sprawcy wykonać karę śmierci, a poległemu w pojedynku odmówić pogrzebu.

W ślad za powyższym edyktem, który jednak, jak niektórzy autorowie niemieccy utrzymują, nie miał mocy obowiązującej, ponieważ nie został sankcyonowany i ogłoszony w sposób przepisany, wydały poszczególne państwa niemieckie cały szereg, odznaczających się nadzwyczajną surowością, edyktów przeciwko pojedynkom, znanych pod nazwą „Duellmandate,“ które obowiązywały w niektórych krajach niemieckich aż po koniec wieku XVIII. Jeszcze nawet prawo krajowe pruskie (Landrecht) z roku 1796 przejęło z tychże edyktów przeciw pojedynkom surowe swe postanowienia przeciw pojedynkującym się, grożąc im śmiercią i hańbą. Dopiero w wieku naszym zaszła zmiana w ustawodawstwie o pojedynku, zaczęto zapatrywać się na pojedynek z stanowiska innego, aniżeli dotąd i zaczęto też karać go łagodniej. Zarazem wyrobiły się, szczególnie w Prusiech, jako osobne gatunki pojenynku: pojedynek studencki i wojskowy, o których wspomnieliśmy we wstępie. Pierwszy karały tylko władze uniwersyteckie w drodze dyscyplinarnej jako zabronione igrzysko; drugi t. j. pojedynek między wojskowymi (oficerami) lub między oficerem a osobą stanu cywilnego ulegał osobnym przepisom wojskowym, które oceniały takowy o wiele łagodniej, przyczyniając się przez to do rozpowszechnienia opinii, że t. zw. honor wojskowy nakazuje koniecznie w pewnych przypadkach stoczenie pojedynku.

Obowiązujący dziś powszechny kodeks niemiecki karze pojedynek karą nie hańbiącą zamknięcia (Festungshaft) od jednego dnia do lat piętnastu w miarę skutków i warunków pojedynku.

W Anglii pojedynek sądowy, t. j. pojedynek jako środek dowodowy w procesie, utrzymał się najdłużej, bo został zniesiony formalnie dopiero aktem parlamentu z roku 1819. Jeszcze w roku 1817 zdarzył się w Anglii słynny na on czas wypadek, że niejaki Thornton, podejrzany i oskarżony o morderstwo oświadczył, iż w pojedynku sądowym chce udowodnić swej niewinności i zażądał od sądu zezwolenia na pojedynek sądowy. Sąd w rzeczy samej pojedynek sądowy między oskarżonym Thorntonem a jego oskarzycielem zarządził, lecz oskarzyciel w dniu wyznaczonym do stoczenia pojedynku nie stanął. Wypadek ten stał się właśnie powodem, że parlament aktem z roku 1819 zniósł formalnie pojedynek sądowy. Obok pojedynków sądowych jednak, dopuszczalnych jak widzimy do roku 1819, karano w Anglii bardzo surowo pojedynki prywatne, t. j. pojedynki stoczone bez zezwolenia sądu, które uważano w miarę skutku za morderstwo, zabójstwo i tp. I tak mianowicie czytamy, że w pewnej sprawie o pojedynek, toczącej się w roku 1794, sędzia przewodniczący udziela przysięgłym następującego pouczenia co do karygodności pojedynku: „przysięga, która mnie wiąże — powiada — nakłada na mnie obowiązek pouczenia Was, że zabójstwo wykonane po czasie wystarczającym do zamysłu jest morderstwem (murder). Prawa Anglii uwzględniają ludzką słabość i ułomność w pobitkach nagłych; w takich przypadkach przyjmują bowiem, jeśli nie było dosyć czasu do namysłu i do odzyskania zimnej krwi, tylko zabójstwo (maaslaugther). Takie jest prawo naszego kraju, które oskarżony bez wątpienia przekroczył, chociaż działał zgodnie z prawami honoru. Całe jego postępowanie przy pojedynku dowodzi poczucia honoru i ludzkości. Oto macie prawo i

fakta. Jeśli nie możecie pogodzić ostatnich z sumieniem Waszem, musicie wyrzec winę oskarżonego. W przeciwnym przypadku orzeczenie Wasze, aczkolwiek uczyni wyłom w surowych prawa przepisach będzie wszakże miłe w oczach Boga i ludzi.“

Jest to zatem zjawisko ciekawe, że równocześnie pojedynek w Anglii dopuszczalny jest jako środek dowodowy w procesie, jeśli stoczonym zostaje pod powagą sądu, a ulega surowej karze, bo karze za morderstwo lub zabójstwo, jeśli go stoczą strony prywatnie bez zezwolenia sądu. Ustawy szczegółowej przeciw pojedynkom w Anglii nigdy nie było i dotychczas nie ma. Czyniono kilkakrotnie w parlamencie wnioski względem uchwalenia ustaw przeciw pojedynkom. ale do uchwały nie przyszło, bo uznano je za zbyteczne, a dziś wobec agitacyi przeciw pojedynkom w Anglii, wobec licznych stowarzyszeń przeciw pojedynkom występujących, wreszcie wobec przysięgłych angielskich w rzeczy samej nie czuć w Anglii braku ustawy przeciw pojedynkom.

Na wzmiankę tu jeszcze zasługuje historya pojedynku w krajach południowych Europy, a mianowicie w Hiszpanii, Portugalii i we Włoszech.

W Hiszpanii spotykamy się z pojedynkiem honorowym już w wieku XII i XIII. Był on z przywilejem szlachty, której królowie Kastylii i Aragonii udzielali zezwolenie na stoczenie pojedynku z powodu krzywd na honorze. Pierwotnie musiał się obrażony udać zawsze do króla z przedstawieniem swej sprawy; król polecał obrażającemu zadośćuczynienie w dniach trzech. Jeżeli takowe nie nastąpiło, obrażający i obrażony musieli się udać do króla o zezwolenie na pojedynek, który się odbywał w obecności 12 kawalerów. Był zatem i w Hiszpanii pojedynek poniekąd środkiem dowodowym, bo miał dowodzić słuszności wyrządzonej obrazy, ale tylko w sprawach honorowych i tylko między szlachtą.

Rozumie się, że dumna szlachta hiszpańska nie zawsze chciała udawać się do króla o zezwolenie i niezadługo zaczęto staczać pojedynki prywatne nie troszcząc się o zezwolenie królewskie i wymagane formalności. Wskutek tego wydała Izabela katolicka w roku 1480 ustawę przeciw pojedynkom stanowiącą co następuje: „widzimy dziś czasami potępienia godny zwyczaj, że osoba szlacheckiego rodu lub inna, mając urazę do drugiej przysyła jej kartel z żądaniem zadość uczynienia lub stoczenia pojedynku. Gdy to sprzeciwia się sprawiedliwości i władzy naszej, stanowimy, że wysyłający kartel i przyjmujący takowy pozbawieni będą czci i utracą dobra, które oddane zostaną naszej kamerze królewskiej. Jeśli nastąpiło zabójstwo lub uszkodzenie cielesne, ten, który kartel wysłał, ulegnie karze śmierci; ten, który go przyjął, wygnany będzie z kraju na zawsze, a sekundanci i świadkowie stracą dobra, które ulegną konfiskacie.“

Mimo surowości powyższej ustawy pojedynki się jednak wciąż wzmagały, ale też i ustawę tę, kilkakrotnie ponawianą, zwłaszcza za Filipa II., surowo wykonywano, i tak opowiadają nam mianowicie, że za rządów Filipa II. ukarano karą śmierci sześciu szlachty, którzy w pojedynku zabili przeciwników. W roku 1716 ogłosił Filip V. nową ustawę przeciw pojedynkom jeszcze surowszą od poprzedniej, gdyż grozi pojedynkującym się śmiercią, choćby pojedynek pozostał bez skutku grozi im konfiskatą majątku, utratą wszelkich praw i t. d, ale i w Hiszpanii zaczęła opinia powszechna powstawać przeciw tak wygórowanej surowości, a sądy starały się ustawę omijać, aż dopiero w roku 1821 ogłoszono nową ustawę karną, zawierającą stosunkowo łagodne postanowienia o „zabójstwie popełnionem w walce wskutek wyzwania lub obrazy.“

Podczas gdy w Hiszpanii pojedynki ustawicznie się wzmagały i ustawicznie ponawiano surowe przeciw pojedynkującym się wydane ustawy (ustawę Filipa V. z roku 1716 grożącą pojedynkującym się karą śmierci, chociażby pojedynek był skończył się bez zabójstwa lub uszkodzenia, dalej konfiskatą dóbr, śmiercią cywilną i utratą wszystkich praw honorowych — ponowiono trzechkrotnie w latach 1757, 1759 i 1815) w sąsiedniej Portugalii pojedynek był prawie nieznanym. Wydano wprawdzie i w Portugalii i w r. 1668 edykt przeciw pojedynkującym się, ale o przypadkach wykonania edyktu tego, o głośniejszych pojedynkach, o ponawianiu tegoż edyktu lub o wydawaniu innych ustaw przeciw pojedynkom historya Portugalii nic nie wie. Szczęśliwy kraj, który niemal ominięty został przez zarazę, która nawiedziła całą Europę i do dziś dnia nie ustąpiła!

Nie tak szczęśliwe były Włochy, gdzie pojedynek te same przeszedł koleje, co w innych krajach europejskich, i gdzie dziś głównie na porządku dziennym jest tam pojedynek nagły czyli spotkanie się (rencontre). Ustawy włoskie pierwsze poznały właściwy charakter pojedynku, który trafnie określa ustawa obojga Sycylii z r. 1838 powiadając, „że pojedynek jest nie tylko gwałtem przeciw osobie, ale zagrożeniem prawa przez siłę, która w miejsce powagi sprawiedliwości i ustaw chce wprowadzić zasadę zemsty prywatnej.“

Pojedynek nie ominął i Polski. Historyą pojedynku w Polsce przedstawiają Czacki w dziele o prawach polskich i litewskich i Lelewel w dziele: Polska i rzeczy jej, dokąd ciekawych odsyłamy nadmieniając, że i w Polsce mieliśmy okres pojedynku honorowego.

W drodze ustawodawczej wystąpiono u nas przeciw pojedynkom w r. 1588 i to równocześnie w Koronie i na Litwie. Konstytucya sejmu koron. król. z r. 1588 f. 1214. V. II „de duellis“ mianowicie stanowi „iż się to między ludźmi rozbieżało, że jeden drugiego na pojedynek wyzywał nad prawo chrześcijańskie, tedy uchwalamy, aby żaden szlachcic szlachcica na duellum nie wyzywał, a wyzywany aby się nie stawił, oprócz żeby to było komu przez Nas dopuszczono. A ktoby się przeciw temu postanowieniu ważył tego czynić, tedy ma siedzieć pół roku w wieży i 60 grzywien dać, o co forum w ziemstwie.“ Statut litewski z roku 1588 (trzeci) zaś stanowi: „gdy ludzie szczególnej stanu rycerskiego tej broni, którą użyć powinni na nieprzyjaciół, używają na pojedynki, nie pomniąc na zwierzchność, którą nad sobą mają, nadto warują między sobą, że jeden drugiego zabijając, nie będzie do jakiejkolwiek odpowiedzialności pociągniętym, przez co spokojność publiczna jest wzruszona, ustanowiono, aby od czasu wydania tego prawa, prócz pozwolenia przez panującego, a w wojsku przez hetmana, jeden drugiego nie wyzywał. Raniący lub wychodzący pół roku wieży siedzieć ma. Zabijający jako mężobójca karę odbierze. Nie wychodzący na pojedynek obelżywemi słowami, które wyzywający nań miota, nie jest ukrzywdzonym, ale owszem te nieuczciwe słowa na wyzywającego jako wzruszyciela spokojności powszechnej spaść mają, i nadto taki obrażony człowiek może udać się do urzędu o pomoc przeciwko zapowiadaczowi gwałtu.“

Na tem kończymy niniejszy pogląd na historyą pojedynku, a przedstawimy jeszcze w krótkości rzecz o pojedynku w nauce prawa karnego i obowiązujących kodeksach, których odnośne postanowienia pomiędzy sobą porównamy.

(Dok. nast.)

ZA WINY NIEPOPEŁNIONE.

POWIEŚĆ

przez

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

— Będzie temu lat dwadzieścia parę, jak zajmowałem posadę kasyera przy jednej instytucyi finansowej we Lwowie. Była to posada, która przy skromnych potrzebach naszych dawała nam nie tylko wystarczające utrzymanie, ale pozwalała także zaoszczędzić coś na przyszłość. Słowem byliśmy szczęśliwi, ja i matka twoja. Szczęście nasze miało się powiększyć twojem przybyciem na świat, gdy wtem nastąpiła katastrofa, która nas wyrzuciła precz daleko z drogi, po której szliśmy z takim spokojem i ufnością. Katastrofę tę zgotował nam człowiek, którego nazywałem przyjacielem moim. Żyliśmy ze sobą dość blisko, choć usposobienia nasze były całkiem odmienne, ja byłem zawsze skromny w wymaganiach a nawet marzeniach moich, on zaś ambitny, ryzykowny, żądał wiele od losu i wiele się spodziewał. Był przytem trochę dumny w obejściu z kolegami, despotyczny w zdaniach, lubiał wszędzie być pierwszym. Może właśnie dla tego obrał mnie za towarzysza że ustępowałem mu we wszystkiem, z pobłażliwością słuchałem go i nie obrażałem nigdy jego miłości własnej. Energiczny, nieugięty charakter jego przystał dobrze do mego usposobienia miękkiego, podajnego, które nie stawiało mu oporu; bierność moja ułatwiała zbliżenie i lubił mnie, jak rzeźbiarz glinę, w której odciska swoje myśli. Później dopiero poznałem się na tem i umiałem trzeźwo osądzić nasz stosunek; ale w czasie, o którym właśnie mówię, ja wierzyłem zupełnie w przyjaźń jego, uległość moja była raczej wynikiem uwielbienia, które miałem dla jego rozumu i silnej woli. Tem on mi imponował i wywierał wpływ na mnie. Przyznam się, że byłem dumny jego przyjaźnią i bardzo sobie to ceniłem, że mnie obrał na powiernika swoich zamiarów. Ja pierwszy dowiedziałem się, kiedy jeszcze nikt nie wiedział o tem, że się stara o jakąś pannę z Podola, która bawiła we Lwowie przy swojej ciotce dla dokończenia edukacyi, że to panna wysokiego rodu, a ojciec jej posiada znaczne dobra. Następnie dowiedziałem się, że się oświadczył i został przyjęty. Dzień ślubu został już oznaczony i to w niedalekim terminie; trzeba więc było na gwałt urządzić mieszkanie odpowiednie urodzeniu panny, a że on nie miał żadnych dochodów prócz szczupłej pensyjki, więc pomagałem mu ile mogłem w tym względzie. Pożyczyłem mu naprzód kilkaset guldenów zaoszczędzonych przezemnie, a ponieważ to nie

*

wystarczało, więc za namową jego poważyłem się wziąć jeszcze parę tysięcy z kasy. Usprawiedliwiałem się przed sobą samym, że te pieniądze za kilka tygodni wrócą na swoje miejsce; a jednak skrupuły niepokoiły mnie i nie ośmieliłem się powiedzieć o tem żonie, dla której nigdy zresztą nie miałem nic skrytego. Bałem się, że zgani ten mój postępek, bo już wtedy, kiedy własne pieniądze pożyczałem mu, odradzała mi powodowana jakiemś złem przeczuciem. To też z niepokojem oczekiwałem dnia ślubu, drżałem z obawy, aby się to małżeństwo nie rozchwiało, bo od tego zależał teraz mój los, i dopiero odetchnąłem swobodnie, kiedy już było po ślubie. Nowożeniec z powodu małżeństwa wziął urlop z biura na trzy tygodnie. Nie uważałem za stosowne niepokoić go w tym czasie przypomnieniem uiszczenia długu i czekałem cierpliwie dopóki nie powróci do czynności swoich. Tymczasem w tydzień może po ślubie zjawił się u mnie w kasie w podróżnem ubraniu, mówił, że wyjeżdża z żoną w tej chwili do jej rodziców po odbiór majątku i że potrzeba mu na gwałt tysiąc reńskich. Traktował tę pożyczkę jako bagatelę, której mu odmówić nie śmiałem. Byłoby to dziwną nieufnością z mej strony odmawiać tysiąca guldenów człowiekowi, co jechał odbierać krocie, a przy tem człowiek ten miał taki wpływ nademną, że nie miałem odwagi odmówić mu i zrobiłem co chciał. Za parę tygodni miał powrócić. Rzeczywiście wrócił i stawił się w biurze jeszcze przed końcem urlopu; ale uważałem, że był jakoś dziwnie usposobiony, gorączkowy, niespokojny, roztargniony. Ów humor promieniejący, jaki miał po ślubie, opuścił go, a na czole jego ciężyło coś, niby chmura. Nie patrzał już tak wyzywająco ludziom w oczy jak przedtem, a szczególniej mnie unikał. Mógł to zrobić tem łatwiej, że on pracował na pierwszem piętrze, a ja przez ten czas znajdowałem się w kasie na dole. Kiedy po zamknięciu kasy przychodziłem do jego biura nie zastawałem go już zwykle. Zastanowiło mnie to trochę; ale tłomaczyłem sobie jego dziwne usposobienie chorobą żony lub innemi jakiemi okolicznościami. Ani mi na myśl nie przyszło, żeby to miało jakiś związek ze sprawą pieniężną. Kiedy jednak zbliżał się obrachunek kasy, a on nie zgłaszał się wcale do mnie, postanowiłem odłożyć na bok wszelkie względy i iść przypomnieć mu termin wypłaty. Nie zastałem go w domu; przynajmniej tak powiedział służący mnie i kilku żydom, którzy także chcieli się widzieć z panem. Miałem już odejść, gdy zwróciło moją uwagę, że żydzi owi zaczęli naprzód szwargotać coś żywo między sobą, potem znowu natarczywie dobijać się do drzwi, a gdy zdziwiony zacząłem ich strofować za to, odparli mi hardo, że oni wiedzą dlaczego to robią, bo wiedzą dobrze, iż pan jest w domu, tylko umyślnie chowa się przed nimi, ale oni przyjdą z komornikiem i będzie musiał im wtedy otworzyć. Jakby mi kto rozpalony drut przez serce przeciągnął, tak tknęły mnie te słowa. On w rękach żydowskich, pomyślałem sobie, i strach mnie ogarnął nie wiem czy więcej o niego, czy o siebie w tej chwili. Wiedziałem dobrze z długiej praktyki w zawodzie finansowym, że dom, koło którego krążą kruki w czarnych chałatach i jarmułkach, musi być już dobrze zagrożony ruiną. Dziwiło mnie tylko w jaki sposób on mógł przyjść do tego stanu, gdy właśnie zazdroszczono mu świetnego losu, jaki zrobił. Dla wyjaśnienia tej zagadki chciałem się z nim koniecznie widzieć jak najprędzej i jeszcze tego dnia wróciłem do jego mieszkania wieczorem. Żydzi odstąpili od oblężenia spiesząc na sabat; to też i przystęp do mieszkania był łatwiejszy, szczególniej gdy oznajmiłem służącemu, że się chcę widzieć z panem w jego własnym interesie. Zaprowadził mnie tedy do jego pokoju przez parę salonów bogato i strojnie umeblowanych, które jednak nieoświecone i puste smutny przedstawiały widok. Z jednego przez uchylone drzwi zobaczyłem młodą kobietę stojącą przed zwierciadłem w żółtej jedwabnej sukni; trzymała w rękach sznur pereł i przymierzała je do czarnych włosów. Widok ten rozpędził trochę smutne przeczucia, jakie mnie ogarniały, gdy wchodziłem do tego domu. Nie mogłem uwierzyć w ruinę i nieszczęście człowieka, którego żona stroiła się w perły i atłasy. To też z dobrą otuchą wstąpiłem do pokoju męża. Widocznie nie był przygotowany na moje przyjście, bo ujrzawszy mnie zmięszał się trochę. Wnet jednak przybrał spokojny wyraz na twarzy i podając mi rękę na powitanie odezwał się smutnie:

— Domyślam się po co przychodzisz. Chcesz pieniędzy, prawda?

— Za kilka dni trzeba będzie przedłożyć rachunki — odrzekłem na swoje usprawiedliwienie.

— A ja nie mam nic, ani grosza — rzekł z jakąś cyniczną determinacyą, która mnie zimnym dreszczem przejęła.

— Bój się Boga, co ty mówisz — zawołałem z przestrachem. — Wszak wziąłeś za żoną....

— Trochę gałganków jedwabnych, trochę fałszywych biżuteryj, zresztą nic, nic. Oszukano mnie nikczemnie.

— A ten majątek ojca.

— Nie jest jego, należy do dzieci z drugiej żony. Zatajono przedemną, aby mnie złapać — mówił to w gorączkowem wzburzeniu chodząc żywo po pokoju.

— I nie ma ratunku — wyjąknąłem na pół nieprzytomny.

— Żadnego. Jestem zrujnowany do szczętu, straciłem wszystko. Te meble, które tu widzisz już nie moje, żydzi położyli na nich areszt i lada dzień je zabiorą. Służba za parę dni odejdzie, bo nie mam jej czem płacić, i te wspaniałe salony trzeba będzie zamienić na nędzne poddasze, a i tam jeszcze nie dadzą mi spokoju, bo jestem po uszy zaszargany w długach.

— I cóż poczniesz? — spytałem tknięty litością nad jego położeniem. W tej chwili zapomniałem całkiem o sobie.

— Albo ja wiem? — rzekł rozpaczliwie zatrzymując się tuż przedemną. — Chyba w łeb sobie wypalić. To jedno, co mi pozostaje.

Począłem go pocieszać i uspokajać jak mogłem, przedstawiałem mu, że są ludzie, którzy się w gorszem od niego położeniu znajdują, a jednak nie rozpaczają, że przy pracy i oszczędności będzie mógł wygrzebać się z tego położenia; ale mi przerwał niezadowolniony mówiąc:

— Taka rada może być dobra dla ciebie, który przyzwyczaiłeś się do mierności i umiesz na małem poprzestać. Ale dla mnie takie życie, to śmierć, gorzej jeszcze, bo śmierć lepsza od takiego życia.

Po takiem decydującem oświadczeniu oczekiwałem z niespokojnością lada dzień katastrofy. Ale minęło dni kilka, kilkanaście, a w życiu jego nie zaszła żadna zmiana. Chodził do biura jak dawniej, tylko więcej jeszcze odsunął się od towarzystwa kolegów, stał się małomowny, nieprzystępny, ubóstwo powiększyło tylko jego dumę. Przy spotkaniu się ze mną okazywał trochę więcej uprzejmości, ale nigdy nie zadawał się w dłuższe rozmowy, a szczególniej nigdy nie dotykał kwestyi owych wypożyczonych trzech tysięcy, jakby zapomniał o tem zupełnie. Obeszła mnie bardzo jego obojętność w tym względzie. Wiedział przecież dobrze, że nie miałem pieniędzy na pokrycie tej sumy, aby ją złożyć napowrót do kasy, musiałem zapożyczyć się u żydów i zapłacić grube procenta, na które szła prawie połowa mojej pensyi. A tu wydatki z każdym dniem się zwiększały; żona odbyła słabość, powiła mi syna. Kłopoty finansowe dotkliwie czuć mi się dały, i to wszystko przez niego. Gdyby był przynajmniej okazał żal swój z tego powodu, że mnie wpakował w taką biedę; ale nie, ani wspominał o tem. Bolała mnie taka niewdzięczność i czułem głęboki żal do niego.

Nareszcie po miesiącu zjawił się raz u mnie w kasie i pierwszy rozpoczął rozmowę o owym długu zaciągnionym u mnie.

— Wiem — mówił mi — że tę sumę założyłeś za mnie, że z tego powodu sam wpadłeś w kłopoty; ale nie chciałem nigdy mówić o tem z tobą, bo nie miałem sposobu zaradzenia złemu. Teraz znalazłem sposób, który nas obu może postawić na nogi. Potrzeba jednak, abyśmy wspólnie działali.

Tu zaczął mi opowiadać, że z porady jednego ze swoich znajomych zaczął spekulować na papiery na giełdzie wiedeńskiej, że od tygodnia jak rozpoczął tę operacyą finansową, parę set reńskich, które na ten cel pożyczył, potroiły się już.

— Gdybym mógł — mówił dalej — spekulować większemi sumkami, dziś byłbym już posiadał majątek.

Nie rozumiałem do czego zmierza, aż mi wyraźnie oświadczył, że chce wciągnąć mnie do spółki w tych zyskach, i dał mi do poznania, że jako kasyer mógłbym użyć leżącego kapitału dla postawienia nas obu na nogi. Ze wstrętem i oburzeniem odrzuciłem tę propozycyą; powiedziałem mu ostro, że wolę znosić ubóstwo, niż tak nieuczciwym sposobem dorabiać się majątku, w końcu zrobiłem mu wyrzut, iż nie dość, iż wpakował mnie w długi, jeszcze chce wciągnąć mnie w niebezpieczne spekulacye, które w razie nieudania się mogłyby mnie zaprowadzić prosto do kryminału. Skarciłem go dość ostro za takie postępowanie, które nazwałem bez ogródki nieuczciwem. Sądziłem, że dałem mu tem kopletną odprawę.

Ale po kilku dniach przyszedł znowu, a nawet, co mnie zadziwiło, z jakąś miną protekcyjną i pewny siebie.

— Widzisz — rzekł do mnie niby strofując mnie jak nieusłuchanego żaka — nie ufałeś mojemu przeczuciu, a pokazało się, że miałem słuszność radząc ci ten interes. Papiery,

na które spekulowałem, podniosły się w przeciągu tych kilku dni o drugie tyle. Gdybyśmy byli zaryzykowali kilkadziesiąt tysięcy, mielibyśmy już tyle, że mógłbyś się nazwać majętnym człowiekiem, a ja miałbym już podstawę do dalszych operacyj na większą skalę. Możemy jeszcze powetować tę stratę, bo mam przeczucie, że akcye kolei południowej, które w przeszłym tygodniu spadły trochę w skutek pogłosek o wojnie, teraz szybko pójdą w górę.

Nie miałem słów na wyrażenie mego oburzenia na tę bezczelną śmiałość, z jaką doradzał mi czyn tak haniebny, jak naruszenie cudzego grosza i rzucenie go na ryzykowną grę. Było to lekceważenie wszelkich zasad moralności, a zarazem lekceważenie mojej uczciwości i mojego losu. Chciałem mu to wszystko wypowiedzieć; ale pojawienie się kilku osób w oknie kasy, przy którem odbywała się wypłata, przeszkodziło mi w tem. Poszedłem ku okienku i zająłem się wypłatami weksli, on tymczasem chodził po pokoju swobodnie jakby u siebie. Widocznie milczenie moje tak go ośmieliło, był pewny, że pokonał mnie argumentami swymi i czekał na skutek. Wszystko gotowało się we mnie i byłem tak roztargniony, że przy wypłacie popełniłem kilka pomyłek, na które aż interesanci zwracać musieli moją uwagę. Irytowała mnie do najwyższego stopnia obecność tego człowieka, zdawało mi się, że sam oddech jego zatruwa i bezcześci powietrze. Miałem ochotę drzwi mu pokazać i czekałem tylko, aż odbędę się z interesantami. Na nieszczęście było ich tylu, że więcej jak pół godziny zajęli mi czasu. Zaledwie ostatni odszedł, zwróciłem się ku memu kusicielowi. Musiał wyczytać wszystko w moich oczach, co miałem na myśli, bo spuścił wzrok ku ziemi i był mocno zmięszany, a nawet drżący.

— No, cóż — spytał niepewnym głosem — zgadzasz się na mój projekt?

Poszedłem cały wzburzony ku drzwiom, otworzyłem je i wskazując mu ręką rzekłem z trudnością hamując gniew, który mną miotał:

— Oto moja odpowiedź na takie propozycye.

Nie uniósł się, ani stawiał się hardo. Wziął szybko kapelusz i rzekł:

— Ha, jak chcesz; ale będziesz tego żałować, żeś nie usłuchał mojej rady. — To powiedziawszy wyszedł upokorzony z pokoju nie śmiąc nawet spojrzeć mi w oczy. Stało się to trzynastego stycznia. Pamiętam dobrze tę datę, wbiła się ona jak gwóźdź w pamięć moją.

W kilkanaście dni potem, przed samym końcem miesiąca, robiąc obrachunek kasy, spostrzegłem z przerażeniem, że w kasie brakowało paczki z pięćdziesięcioma banknotami po tysiąc reńskich. Pięćdziesiąt tysięcy reńskich zginęło z kasy, od której klucz miałem tylko ja jeden. Gdyby śmierć w tej chwili niespodzianie zajrzała mi w oczy nie byłbym się tak przeraził, jak owem zniknięciem pieniędzy. Zdrętwiałem cały z przerażenia, w oczach mi się zaćmiło, że nie widziałem przed sobą nic, tylko tysiące jakichś iskier, płomyków wężykowych, a krew do głowy falami biła. Mało brakowało, abym upadł bez zmysłów. Kiedy trochę oprzytomniałem, począłem z gorączkową niespokojnością przerzucać papiery i szukać owych pieniędzy. Niepodobna mi było uwierzyć, aby mogły zginąć. W jaki sposób? Kasę starannie zamykałem zawsze, pokój zaś, w którym ona była przykuta do ściany i ziemi, miał drzwi opatrzone także wertheimowskim zamkiem, takiż sam zamek był u okiennicy i przy okienku, przez który wydawało się interesantom pieniądze; klucze od tych zamków spoczywały przez noc w mojem mieszkaniu także pod zamknięciem pilnem. Było więc niepodobieństwem, aby ktoś dobrał się do tych kluczy, a mógł dostać się do wnętrza pokoju i do kasy. A wreszcie przypuściwszy nawet, żeby taki nieprawdopodobny wypadek mógł nastąpić, to złodziej nie ograniczyłby się przecież na skradzeniu jednej paczki. Zacząłem przerzucać książki rachunkowe szukając, czy przypadkiem nie wypłaciłem komu tych pieniędzy; ale nic podobnego nie było. Wypłaty w tym czasie odbywały się na drobne kwoty, zaledwie na sto reńskich były w obiegu i to właśnie sprawiło, że tak późno spostrzegłem ubytek owych tysięcy. Mimo to męczyłem pamięć, czy może nie przepomniałem zapisać tej sumy w księgi, czy jej nie wydawałem komu. Wśród tego szperania pamięcią po głowie, nagle jakby natchnienie z góry błysnęło mi wspomnienie owego dnia, w którym on przyszedł do mnie z tą haniebną propozycyą. Przerzucając księgę znalazłem, że tego dnia i właśnie w czasie, kiedy on się znajdował u mnie w kasie, byłem zajęty wypłacaniem kilku weksli, że przez ten czas on chodził po pokoju, a szafa z pieniędzmi była otwarta. On, pomyślałem sobie, on i nikt inny. Dawniej nie byłoby mi na myśl przyszło podobne posądzenie, ale teraz, po tej haniebnej propozycyi, jaką mi zrobił z całą bezczelnością, sądziłem go zdolnym do wszystkiego. Powoli zaczęły wynurzać się z pamięci różne drobne szczegóły utwierdzające mnie w mojem podejrzeniu. I tak przypomniałem sobie, że kiedy po odprawieniu interesentów zwróciłem się do niego, był zmięszany, jak człowiek na gorącym uczynku złapany, że kiedy wskazałem mu drzwi nie próbował choć pozór obrazy zachować, ale skorzystał z tego, by co prędzej zejść mi z oczów.

Odkrycie tak potwornej zbrodni w człowieku, którego nazywałem kiedyś swoim przyjacielem, którego przyjaźnią nawet chlubiłem się, przeraziło mnie tak, że zbezwładniałem na duchu i na ciele, i długiego potrzebowałem czasu zanim mogłem myśleć i coś postanowić. W pierwszej chwili chciałem wezwać pomocy policyi, iść do jego mieszkania i zrobić ścisłą rewizyą; ale po chwili rozwagi przyszedłem do przekonania, że to byłoby daremne, bo zapewne postarał się do tego czasu o dobre schowanie dla tych pieniędzy. Oskarżyć go i aresztować także było nie możebnem, bo nie miałem w ręku żadnego dowodu jego winy, niczembym nie mógł go zmusić do przyznania się. Jedynie zostawała droga odwołania się, nie już do jego uczciwości, bo w nią straciłem wiarę zupełnie; ale do litości jego. Miałem nadzieję, że kiedy mu przedstawię straszny los, jaki czeka mnie, żonę moją i dziecko moje, kiedy mu przypomnę, że z poświęceniem własnego grosza ratowałem go w nieszczęściu, ulituje się nademną i nie będzie chciał mnie gubić do reszty. Wszystko tu zależało tylko od jego dobrej woli, byłem na jego łasce, szło więc o to, aby go nie drażnić, ale zmiękczyć. Dużo mnie kosztowało iść błagać łaski u tego, którym pogardzałem, ale wzgląd na żonę i dziecko nakazywał mi zrobić to.

Poszedłem więc do niego, przedstawiłem mu wszystkie okoliczności, które wykazywały, że on tylko nie kto inny mógł przywłaszczyć sobie te pieniądze, usprawiedliwiałem ten jego niecny postępek zapomnieniem, gorączką złota, obiecywałem a nawet przysięgałem zamilczeć o tem przed ludźmi, byleby oddał, co zabrał, zaklinałem go w imię dawnej przyjaźni, usług jakie mu oddawałem, odmalowałem mu w strasznych kolorach los, jaki czeka mnie i moją rodzinę, skoro hańba spadnie na mnie, błagałem ze łzami prawie, aby się ulitował nad nami, zniżyłem się nawet do tego stopnia, że mu się do nóg rzuciłem.

— I cóż on? — zawołał Jan wzruszony opisem tej okropnej sceny.

— Wysłuchał zimno, obojętnie wszystkiego tego, com mu powiedział, a potem ze spokojem, który szpik mroził w kościach spytał:

— Masz na to świadków?

A gdy milczałem nie tylko dlatego, że nie miałem co odpowiedzieć, bo i oburzenie tak zaparło mi oddech, ścisnęło gardło, że słowa wymówić nie byłem w stanie, on poszedł ku drzwiom, otworzył je i wskazując mi ręką rzekł:

— Oto moja odpowiedź.

— Ha nędznik — wybuchnął znowu Jan zaciskając pięści.

Stary Leszczyc ciągnął znowu dalej:

— Wróciłem do domu złamany, zrozpaczony. Nie widziałem innego sposobu wyjścia, jak odebrać sobie życie; ale kiedy pomyślałem o mojej żonie i dziecku brakło mi odwagi do spełnienia tego czynu. Śmierć moja nie uwolniłaby ich od hańby, a osierociłaby ich na zawsze. Miałem obowiązek żyć dla was obojga. A przytem oprócz obowiązku wiązała mnie do was miłość. Czyż mogłem dobrowolnie przeciąć ten węzeł, co wiązał nasze serca? To było nad moje siły. Zdecydowałem się żyć i odcierpieć karę nie za swoje winy. Przypuszczałem, że kara nie będzie wieczną, że wrócę do was, schowamy się gdzie w jaki kątek ustronny, gdzie odgłos pozornej zbrodni mojej nie dojdzie i wyprosimy sobie u Boga jeszcze odrobinę szczęścia na tej ziemi. Ta nadzieja wytrąciła mi z ręki samobójcze narzędzie.

Wróciłem do domu i opowiedziałem wszystko matce twojej, wszystko, nie tając najmniejszego szczegółu, a w końcu powiedziałem jej, że uprzedzając wypadek, chcę sam iść oddać się w ręce sprawiedliwości. Matka twoja, pamiętam, pobladła okropnie, usta miała aż sine, tak wszystka krew zbiegła gdzieś do głębi; mimo to mężnie zniosła ten cios, a kiedym skończył z męczeńską rezygnacyą rzekła: idź! Potem wstała, poszła chwiejnym krokiem do kołyski, wyjęła śpiącą dziecinę i dała mi je do pocałowania, jakby relikwię na tę bolesną drogę, którą przebyć miałem. O! nie, nie wyobrazisz sobie synu, co się działo w mojej biednej głowie i sercu, kiedy mi przyszło wychodzić z tego naszego cichego mieszkanka, w którem tyle szczęśliwych chwil przebyliśmy razem, kiedy po raz ostatni całowałem ciebie i matkę twoją. Ta święta kobieta nadludzką jakąś siłą zatrzymała w sobie łzy, by nie

miękczyć mego serca i chcąc dodać mi odwagi szepnęła tylko: do widzenia.

Tu przerwał staruszek opowiadanie — łzy dławiły mu głos i nie pozwalały mówić. Ale nietylko on jeden płakał — i syn wtórował mu głośnym płaczem, a aptekarz w kącie ciągle nos siąkał i oczy chustką ocierał. Po jakimś czasie, gdy się trochę uspokoił Leszczyc, mówił dalej:

— Kiedy stanąłem przed sędzią i oznajmiłem mu z czem przychodzę — spojrzał na mnie jak na waryata; był pewny, że w błędzie tylko mogłem zrobić coś podobnego. Bliższe dochodzenie pokazało, że to co zeznałem było prawdą. Było to faktem, że w kasie brakowało pięćdziesięciu tysięcy. Trudniej mi było wytłómaczyć się w śledztwie, na co użyłem tych pieniędzy, lub gdzie je przechowałem. — W mieszkaniu mojem ich nie znaleziono, w karty nie grywałem — wiedziano, że żyłem skromnie, było więc zagadką, gdzie zaprzepaściłem te pieniądze. — Mogłem pociągnąć do odpowiedzialności właściwego winowajcę, ale nie miałem najmniejszego dowodu na poparcie mego oskarżenia, nic prócz słów, które w oczach sądu nie miały wagi żadnej, bo wychodziły z ust człowieka, który sam stał pod zarzutem zbrodni, a więc nie zasługiwał na wiarę. Nie mogłem więc bronić się kosztem jego i wolałem powiedzieć, że pieniądze te przegrałem na giełdzie. Ale gdy mi kazano udowadniać, wykazać się kiedy grałem, na jakie papiery, za czyjem pośrednictwem, plątałem się w odpowiedziach i nie umiałem się wytłómaczyć. Popadłem w podejrzenie, że ukryłem te pieniądze. Zarzut ten był daleko cięższy od tego, do którego się sam przyznałem, bo obwiniał mnie już nietylko o lekkomyślne przetrwonienie cudzego grosza, ale o wyrafinowaną zbrodnię. I ten zarzut musiałem przyjąć jako konsekwencyą czynu, do którego się przyznałem. Nazwiska tego, który był rzeczywistym sprawcą, nie wspomniałem ani razu w ciągu całego procesu. Miałem nadzieję, że on sam tknięty wyrzutami sumienia nie pozwoli, abym cierpiał za niego. Ale on milczał. Osądzono mnie tedy i skazano na trzy lata więzienia. Przez ten czas matka twoja utrzymywała się z pracy rąk, odwiedzała mnie, pocieszała i krzepiła upadłego ducha. Zacna ta niewiasta była moim Aniołem stróżem.

Gdy mnie nareszcie wypuszczono z więzienia, zostawałem jeszcze przez drugie trzy lata pod nadzorem policyi, jako podejrzany o ukrycie pieniędzy. Potem wyjechaliśmy na prowincyą; tam zmieniłem nazwisko, a raczej użyłem naszego przydomka rodowego: Leszczyc nie chcąc, abyś nosił nazwisko, które figurowało w aktach kryminalnych. Teraz zrozumiesz zapewne dla czego nie chciałem przyjąć posady sekretarza, którą mi książę ofiarował. Bałem się wracać do Lwowa, gdzie znano mnie. Schroniłem się w ten cichy zakątek i sądziłem, że tu spokojnie dożyję resztę dni moich. — Stało się inaczej.

Tu umilkł Leszczyc i smutnie zwiesił głowę. Czas jakiś ciężkie milczenie panowało w pokoju.

— Ty milczysz Janie?—spytał po chwili Leszczyc z boleśnym wyrzutem—o! na Boga! przemów co, bo milczenie twoje zdaje się mnie potępiać.

Jan szybko powstał, zbliżył się do ojca i całując go w rękę rzekł z uczuciem:

— O, ja wierzę ojcze w twoją niewinność, wierzyłem pierwej, nim mi to powiedziałeś; ale to mnie smuci, że nie mogę innym nakazać wierzyć tak samo, że nie mogę zamknąć usta oszczercom. W ich oczach my potępieni — o! to okropne.

— Co ci o takich ludzi idzie — odezwał się aptekarz.

— Ci ludzie, to cząstka opinii publicznej i żyć między nimi z piętnem hańby niezasłużonej, być wytykanym palcami przez tych, którzy może stokroć mniej są warci — to boli — to okropnie boli.

Nagle zwróciwszy się do ojca spytał:

— I cóż się stało z tym człowiekiem, który cię wtrącił w taką przepaść. Pewnie sprawiedliwość boska dosięgła go i ukarała za nas — prawda?

— Ten człowiek żyje bogaty, otoczony szacunkiem ludzi.

— Nie, przez Bóg żywy — to być nie może. — Powiedz mi, gdzie on jest, a pójdę do niego żądać zadosyćuczynienia za krzywdę, którą nam wyrządził. Kiedy Bóg zapomniał ukarać — ja go ukarzę. — Jego nazwisko.

— Znasz je dobrze, znasz go dobrze — to bankier Naderman.

— Naderman! — wrzasnął Jan okropnym głosem, aż szyby okien się zatrzęsły. Twarz jego krwią nabiegła, oczy wyszły na wierzch. Naderman! — powtórzył wznosząc zaciśnięte pięści do góry. On? — I mówią, że Bóg sprawiedliwy — kłamstwo, kłamstwo.

Objął się dłońmi za głowę i runął z łoskotem na podłogę. Ojciec i aptekarz pospieszyli ku niemu z ratunkiem.

W tej chwili w ulicy odezwał się śpiew księży prowadzących kondukt pogrzebowy. Pogrzeb był nadzwyczaj okazały — cała ludność zdrojowiska wzięła w nim udział. Długi szereg księży i zakonników — bractwa postępowały przodem; około trumny, na której spoczywał olbrzymi wieniec, szło dwunastu lokajów z pochodniami. Za karawanem szedł bankier, prowadząc żonę pod rękę, w grubą ubraną żałobę. Miał postawę dygnitarza, pełną szlachetności i powagi. Osoby idące za pogrzebem z uszanowaniem poglądali na tą imponującą postać i podawali sobie do ucha wieści o jego kolosalnym majątku, o wielkiem znaczeniu i stanowisku, jakie ma w Wiedniu. A kiedy nad grobem kuzyna bankierradca raczył uronić łez parę, obecni nie mogli dosyć nachwalić się jego wielkiego serca i pięknego charakteru. (C. d. n.)

O PRZYCZYNACH I SKUTKACH

WZROKU KRÓTKIEGO

ZE WZGLĘDU NA WYCHOWANIE PUBLICZNE

napisał

Dr. Adam Zagórski.

(Ciąg dalszy.)

Krwiotoki takie, gdy raz wystąpią, powtarzają się łatwo. Niepomyślniejszy wynik jest wtedy, jeżeli krew się wylewa między naczyniówką i siatkówką, i jeżeli ilość jej jest znaczniejsza, wtedy naciska na siatkówkę, odrywa ją i wywołuje co najmniej pokrzywienie, połamanie widzianych przedmiotów, jakoby patrzenie przez czarną kratę. Jeżeli oderwanie siatkówki jest znaczne, to ustaje możebność odbicia obrazu na siatkówce, czyli że oko ślepnie, i niestety po największej części takiem pozostanie na zawsze. Tak smutne więc bywa zakończenie aktu, rozpoczynającego się w źle urządzonych ławkach szkolnych, przy złem świetle w pokojach podczas nauki, w ciemnym kantorze, przy czytaniu i pisaniu o zmroku, lub też przy haftowaniu i krosnach. —

Nie jeden zapewne pomyśli, że przedstawiam tą sprawę w zanadto czarnych kolorach; aby się jednak przekonać, dosyć jest przejrzeć odpowiedni rozdział w pierwszej lepszej książce okulistycznej, odpowiadającej obecnemu stanowi tej nauki. Lecz nawet wtedy, gdy niebywa tak smutne zakończenie, jeżeli nawet w 60tym i 70 roku życia czytać i pisać można, wszelkie zatrudnienie staje się przykrem. Każde jaśniejsze światło razi. Mięśnie wewnętrzne oka, które muszą bardzo się natężać przy patrzeniu na bardzo bliskie przedmioty, wypowiadają w końcu posłuszeństwo. Mimowolnie kieruje się jedno oko na zewnątrz, bośmy się przyzwyczaili z początku zamykać go przy czytaniu. Wreszcie to oko wychodzi zupełnie z użycia; powstaje cień i zamiast dwóch oczu zdatnych do pracy ma się tylko jedno. Albo, też dokuczają takim ludziom wskutek większego napływu krwi tak zwane zjawiska entopiczne, widzą oni przed oczami latające czarne punkta, znane pod nazwą *mouches volantes.*

Jeżeli wydęcie oczu dojdzie do tego stopnia, że granica widzenia nie przechodzi 5 cali, wtedy wskutek wielkiego naprężenia siatkówki wzrok staje się słabym i nawet za pomocą odpowiednich wklęsłych okularów trudno widzieć wyraźnie z daleka. Jeżeli granica nie dochodzi 4 cali, w takim razie już bez wyjątku wzrok jest słabym.

A teraz odpowiem na pytanie, jak się to dzieje, że krótkowidze w późniejszym wieku lepiej widzą i potrzebują słabszych szkieł? Stosuje się to tylko do niższych stopni krótkowidzenia, lecz nie dla tego, żeby takowe się usunęło, tylko że w późniejszym wieku źrenica się zwęża. Znaną jest rzeczą, że krótkowidze przez małe otwórki lepiej widzą z daleka, ponieważ unikają przez to promieni brzeżnych, które się silniej załamują. Tacy ludzie w późniejszym wieku używają słabszych szkieł, a nawet trafia się, że wzrok mało krótki stanie się dalekim przy bliskiem patrzeniu i wtedy używają do bliskiego widzenia szkieł wypukłych, do dalekiego wklęsłych, czyli tak zwanych okularów Franklina.

Ze wszystkich klas ludzi, głównie klasa wykształconych podlega krótkowidzeniu. Nie mówię tego, aby i między rolnikami nie trafiał się wzrok krótki, ale bardzo rzadko. Między koczującymi ludami zdaje się nie bywać, a Furnari utrzymuje, że Arabowie w Algieryi są od niego wolni. — Donders sądzi, że ilość krótkowidzów w klasie wykształconej ciągle się powiększa i posuwa się w wyliczaniu następstw wzroku krótkiego tak daleko, że mówi: „Krótkowidz nie jest wstanie wykonywać swoich obowiązków obywatelskich, nie tylko że jest ograniczony w wyborze powołania, lecz narażony jest na niedokładne widzenie i przy wyższym stopniu grozi mu niewyleczalna ślepota“. Rozumie się, że przy takiem zdaniu stawia wnioski, aby przedsiębrać energiczne środki, w celu zapobieżenia postępowi tej wady.

Wyżej wymieniłem niebezpieczeństwa wzroku krótkiego i cielesne przykrości, jakim podlegają krótkowidze; teraz wspomnę kilka słów o etycznej i socyalnej stronie tej kwestyi. Nie wszyscy przywiązują do tego wielką wagę; niektórzy utrzymują że krótkowidze mają pewne odrębności charakteru, sobie tylko właściwe. Jedni uważają ich za nieśmiałych i niedołężnych; drugim znów przeciwnie wydają się zanadto śmiali i swobodni, ponieważ nie mogą widzieć wrażenia, jakie robią na innych. Cardanus sądzi, że krótkowidze są bardzo kochliwi, bo nie widzą ułomności ciała i uważają za aniołów ludzkie istoty. Jednem słowem, trudno byłoby ułożyć powszechne na to prawidła lub sprawdzić metodę statystyczną. W każdym razie silni krótkowidze mają w sobie coś niezgrabnego i nieradnego. Jeżeli kto normalnie widzący zechce się przekonać, jak się wydaje ten świat krótkowidzowi, niech weźmie silne szkło wklęsłe, a zobaczy wszystko źle i niewyraźnie; a przecież krótkowidz tylko tyle widzi. Słusznie więc, że krótki wzrok jest przeszkodą dla wszystkich zawodów, czy to dla rzemieślników, czy też przemysłowców, czy wreszcie dla ludzi nauki, i że krótkowidze dopiero przez większą pracowitość mogą wyrównać normalnie widzącym.

Dla ważności przedmiotu muszę jeszcze bliżej zastanowić się nad przyczynami tego zła i szczegółowiej takowe rozebrać. Ułatwią mi to liczby, czyli wykazy statystyczne.

Wyżej wspomniałem, że najprzód w szkole oko przyzwyczaja się do bliskiego patrzenia, i że to stanowi podwalinę dla wzroku krótkiego. Lecz to są już stare skargi. Aby się o tem przekonać, dosyć jest przeczytać następujący wyjątek z pisma o pielęgnowaniu oczu przez J. Beera, wydanego w r. 1800: „Kto tak często jak ja napróżno usiłował przedstawiać w sposób najwięcej przyjacielski i przykonywający rodzicom i nauczycielom złą stronę dzisiejszego domowego wychowania ze względu na szanowanie oczu, temu z trudnością przyjdzie wygłaszać publicznie swoje rady, oparte na tyloletniem doświadczeniu, ten może się spodziewać, że głos jego będzie głosem wołającego na puszczy i nie wielu się znajdzie, którzy go słuchać będą. Źle pojęta zasada, że dzieci muszą dzień cały pracować, sprowadza to, że drzwi od pokoju przez cały dzień się nie zamykają, bo co raz to inny nauczyciel przychodzi, nie ma końca z czytaniem, pisaniem, uczeniem obcych języków, rysowaniem, rachowaniem, haftowaniem, grą na fortepianie, aż te umęczone stworzenia staną się blademi, bezsilnemi i wątłemi, wzrok im się osłabi i zrobi się krótki i wtedy to są rodzice zniewoleni pytać lekarza o radę. Najwięcej pożałowania godnemi są dziewczęta, zatrudnienia chłopców są więcej rozmaite i połączone z ruchem na wolnem powietrzu. Cóż pomoże jakiej pannie lub kobiecie podziwianie i uwielbianie wszystkich ludzi, jeżeli straciła zdrowie i siłę swojego wzroku. Widziałem małe nadzwyczaj delikatnie wypracowane pejzaże z paciorków, które wybornie naśladowały najpiękniejsze miniatury, okazujące w młodej panience gust, któryby zaszczyt przyniósł każdemu wykształconemu artyście. Z wielką przyjemnością przyglądałem się tym arcydziełom, dopóki nie zobaczyłem oczu młodej artystki, a te mi gorzko zatruły moją radość.“ Arlt z Wiednia dodaje: „Gdyby Beer dzisiaj pisał, toby wspomniał o książkach i książeczkach z drukiem psującym wzrok, jak stereotypowe wydania klasyków, słowniki kieszonkowe, małe karty geograficzne, w których nazwy miejscowości należałoby szukać przez szkło powiększające!“ *)

Szczęściem głosy te nie przebrzmiały na próżno i dziś uważają za potrzebne, aby człowiek wykształcony miał przynajmniej jakieś pojęcie o swem ciele i zmianach w niem zachodzących; stosunki sanitarne większą zwracają na siebie uwagę i poznano przecież braki w szkole. Jest nadzieja, że w niedalekiej przyszłości władze szkolne postarają się o usunięcie tych braków, które pociągają za sobą tak smutne następstwa. Nie da się zaprzeczyć, że nie sama tylko szkoła jest temu winna, że w domu jeszcze więcej się grzeszy przez złe światło przy nauce w nocy, przez czytanie zaraz po jedzeniu i o zmroku, przez pasyonowane czytanie po kątach; lecz szkoła powinna dać początek do ulepszenia. Jeżeli będzie w szkole dobrze, to dzieci wreszcie poznają różnicę między pomyślnymi stosunkami w szkole i złemi w domu i będą się starały takowe poprawić.

(Dok. nast.)

*) Arlt, Die Pflege der Augen im gesunden und kranken Zustande.

STUDYA ESTETYCZNE.

przez

Wojciecha Dzieduszyckiego.

(Ciąg dalszy.)

Rozkaz zmartwychwstania wydał Sykstus IV della Rovere budowniczemu Pintellemu, i to tak jak wykształcony ksiądz i panujący rozkaz taki wydać musiał. Sykstus we wszystkiem przyzwyczajony do ładu, do posłuszeństwa, do etykiety i parady, zagragnął mieć miasto ściśle kościelne, a jednak klasyczne, miasto, w któremby nic papieża i kardynałów nie ćmiło, ale w któremby papież i kardynałowie z pańska wyglądali, miasto urzędowe, klasyczne i pańskie; i w Pintellim znalazł Sykstus posłusznego woli wykonawcę.

Był to człowiek małych pomysłów i niewielkiej twórczości. On jednak zakreślił już wielkie linie ulic głównych, wzdłuż których miały stanąć pałace i kościoły przyszłego Rzymu, i on dźwignął kilka kościołów i kilka fasad przybudował do starych bazylik. Kościoły jego, jako to San Agostino i Santa Maria del Popolo, są to gmachy o krągłych sklepieniach, podobnie jak wszystkie przyszłe kościoły Rzymu w znak krzyża świętego stawiane, z kopułą u środka, o których teraz mówić nie wypada, a to dla tego, że kościół świętego Piotra wszystko nam powie, co one by nam powiedzieć mogły. A tak kościoły, jak i fasady, jak i pierwsze pałace powstającego Rzymu tem głównie dla nas ciekawe, że chłodne i porządne swoje ciała dźwigały z kamieni wyrwanych owym zwaliskom, które teraz otaczamy taką czcią prawie religijną. I oto znowu widzimy zjawisko estetyczne, tem ciekawsze dla nas, że na pozór zupełnie niezrozumiałe.

A jednak, czy nie znasz owego proboszcza, człowieka zresztą wcale wykształconego, co odprawiał nabożeństwo w starym drewnianym kościele z Zygmuntowskich jeszcze czasów, albo co miał nad wielkim ołtarzem stary, wyblakły obraz dobrego włoskiego pędzla, albo na cmętarzu jaką malowniczą ruinę, i kazał kościół zwalić na to, aby postawić nowy w kasarniano-Jozefińskim stylu, obraz kazał wyrzucić i sprowadził olejny druk z Mnichowa, i ruinę na cmętarzu kazał znieść, aby było którędy chodzić procesyi. Tobie żal było, tłumaczyłeś księdzu proboszczowi, że szkoda pamiątek, ale tłómaczyłeś darmo, a ksiądz dobrodziej trafił w smak wiernej swej trzodzie i dogodził jej niepospolicie.

I takim proboszczem był Sykstus IV, takimi proboszczami byli Juliusz II, Leon X, Paweł V i Sykstus V, którzy dalej jego dzieło prowadzili. Chcieli aby nowy Rzym był równie pięknym jak niegdyś Rzym stary, ale na to tylko, aby świadczył o ich pańskości i przystrajał procesye kościoła. Owe stare gruzy zawalały drogi, straciły od dawna wszelki użytek, przypominały niebezpiecznie dawno minione polityczne tradycye, i były wreszcie ich zdaniem niepiękne. Artyści mogli tam na tych ruinach czegoś się uczyć, ale dla ogółu były to zczerniałe, popękane kupy kamienia, a ksiądz proboszcz lubi tylko to co nowe, i gorszy jego ruina wszelka, jako świadectwo nieporządku i niechlujstwa niegodnego przybytku bożego, jakim był Rzym cały. Trzeba było tedy koniecznie ruiny albo restaurować, albo walić, restaurować nie warto było, bo te amfiteatra i świątynie na nic by się nie zdały, więc przyszło walić, i Sykstus V mówił, że wszystko zwali prócz tego, co jest pięknem, a mianowicie prócz kilku łuków tryumfalnych i kilku kolumn cesarskich. Tylko śmierć przeszkodziła mu w przedsięwzięciu.

I walono zawzięcie nietylko pogańskie, ale i chrześcijańskie pamiątki. Wstydzono się staroświeckich bazylik, tak niepodobnych do tego co przypisał Witruwiusz. Co najmniej ukrywano je klasyczną fasadą, a gdy były u serca papieskiego Rzymu walono je bez ceremonii. I stała się znowu rzecz dla nas dziś niezrozumiała: Sam papież Juliusz II kazał staroświecki a przenajświętszy kościół świętego Piotra zwalić, bo nie odpowiadał już modzie. Wszystko miało być nowem, wszystko miało być z jednej sztuki w Rzymie, i zamiast barbarzyńskiej, klasztornej bazyliki miał stanąć ogromny tum z pańska klasyczny, przy podobnymże pałacu. I do pałacu wpierw a potem do kościoła wzięli się z kolei Bramante, San Gallo, Rafael, Michał Anioł, Fontana, Maderna i Bernini.

Wyobraźmy sobie tedy długą, żółtą dwupiątrową kamienicę o pojedyńczych, podłużnych oknach z niskimi przyczołkami, pozbawioną wszelkiego charakteru i ozdób wszystkich a będziemy mieli obraz Watykanu, wśród którego założył Bramante wąski podłużny dziedziniec, większy od największych placów, prawdziwą pustynię bruku i murów, po której znużone oko błądziło bez nadziei póty, póki go Rafael Stern w tym wieku przez poprzeczne skrzydło na dwa kwadratowe dziedzińce nie podzielił. Od razu dostrzeżesz, że to gmach powszedni i nudny, po woli dopiero opanuje cię w nim przekonanie, żeś bardzo mały i słaby, powoli dostrzeżesz, że tu piątra wysokie jak kościoły, a okna wielkie jak kolosalne bramy, że wreszcie i linie umiejętnie w matematyczny ład ujęte. I domyślisz się choćbyś nie wiedział o tem, że tu wielki bardzo pan mieszka, co mroźnym, zimnym, obojętnym ładem, i klasyczną niepretensyonalną wielkością lud odstrasza. Cacka i cuda chowa dla siebie we wnętrzu. Są tam obrazy i marmury i posągi cenne nad wszelką miarę, ale nimi się nie chwali pan w swojej dumie przed gawiedzią, są tam nawet piękne architektoniczne szczegóły, arkady przy-

pominające koloseum w Kortile di San Damasa, z rzymska sklepione rotundy i nadewszystko jest tam cudny dziedzińczyk Belwederski, w którym Bramante dowiódł, że umie z białego marmuru stawiać nadpowietrzne troiste łuczki, oparte o Jońskie kolumny i masywne filary, pełne lotności i wdzięku, uśmiechu i życia. Wiedzieli papieże, wiedział Bramante jakie są uroki potężnych, albo lotnych łuków, w czem wdzięk greckiego piękna i rzymskiej okazałości, znali się nawet na mistycznej florentyńskiej myśli Michała Anioła, ale skarby te chowali dla wybranych i wykształconych. Pan wielki tylko zimną wzgardę powszednich murów pokazywał ludowi, unikając nawet pozorów zamku, by dowieść, że jest pewnym siebie i spokojnym w mocy.

A nigdzie może moc ta zimna, uroczysta, etykietalna nie występuje tak jawnie jak na wschodach, które San Gallo dobudował do gmachu Bramantego. Stanęły w głębi, u końca olbrzymiego nad miarę, bielonego, sklepionego kurytarza, i podnoszą się powoli, pompatycznie, z przerwami i estradami, idąc i do góry i w głąb, przez martwą sień, bez końca. I oko twoje gubi się w tej perspektywie, i mierzy te szerokie proporcye i czuje, że stanęło w gmachu bezmiernym i nie może się wstrzymać od podziwu pozbawionego współczucia, od podziwu mrożącego, jakiego żądają panowie i jakim się zadawalniają.

Ale gdy przyszło postawić i nowy kościół świętego Piotra, farę całego chrześcijaństwa, musiano się namyśleć dobrze, musiano wreszcie postanowić, że się i lud wpuści do wspaniałego przybytku, boć trudno aby pierwszy kościół w chrześcijaństwie nie ćmił wielkością i przepychem. A mimo to nie chciano popaść w pospolitą, krzyczącą przechwałkę, nie chciano, by kościół nowy chwalił się jakąkolwiek rzeczą zbyt głośno, by się wydał owocem wysilenia. Dobry smak we wszystkiem, a przytem wielkość i piękność i moc niepretensyonalna, oto hasło budowników kościoła, Bramantego, Michała Anioła i Rafaela, którego myśl najsilniej może w ogólnym układzie trwa.

Choć to kościół największy na świecie nie uwierzysz temu gdy wejdziesz doń, i będziesz miał ochotę się spierać żeś większe widywał, a za to od razu zrozumiesz całą architekturę wnętrza. W całej okazałości staje przed tobą nawa ogromna, potężna i olbrzymia. Wielkie sklepienie rzymskie strojne w kasety i róże złote, sparło się spokojnie o cztery krągłych łuków i tyleż potężnych filarów. W głębi widać krągłą przestrzeń pod kopułą, z której się rozchodzą ramiona krzyża, a strojny grób apostoła stanął we środku znacząc sobą serce gmachu.

A teraz idź powoli w głąb kościoła, a uczujesz jak cię wielkość nadludzka ze wszech stron obstępuje. Każdy filar zajmuje taką przestrzeń jak przecięcie łuku, a szerokość nawy równa się sumie tych dwu przestrzeni. Wysokość nawy równa się podwójnej jej szerokości, a długość podwójnej wysokości. Widzimy zatem, że proporcye wszystkie są tu jasne, a przytem tak proste, że zdaje się, że się same nastręczają. I ornamentyka filarów i łuków jasna, a ściśle klasyczna, składa się z płaskich, żłobkowanych korynckich pilastrów i poziomych gzymsów odbijających bronzowym marmurem od białego tła, a dzielących całość na rytmiczne pola. Na każdym filarze stoją dwa pilastry, a trzy gzymsy biegną wzdłuż całego gmachu.

Po obydwu bokach wielkiej nawy ciągnie się szereg kaplic strojnych i dziwnie ozdobnych. I każda kaplica nutą jednej weselnej pieśni. Nad każdą zwisła kopuła, z każdej prowadzi łuk olbrzym do głównej nawy, każda przez bramy i okna z pobliskiemi kaplicami się łączy, każda strojna w kolumny i mozaiki, w każdej wdzięczą się dziwnie harmonijne formy. A dalej staje trzeci rząd kaplic jeszcze rozmaitszych, i tak powstają w około nawy cudowne perspektywy przygotowujące po cichu do wrażenia, jakiego się doznaje pod kopułą. I ztąd poszło, że i ona cię z razu nie spiorunuje; a jednak gdy się wpatrzysz w owo spokojne, krągłe, niebo mozaik, oświecone przez umiejętnie ustawione okna, a oparte o poczwórne sklepienie olbrzymich ramion krzyża, gdy zmierzysz szerokość strojnych filarów, z których łuki wyrosły, uczujesz się dziwnie małym, owionie cię stara groza wśród weselnego gmachu i obejrzysz się, czy gdzie nie ujrzysz stolicy Boga. Krótsze ramiona krzyża tak wysokie jak długie a zawsze jednako strojne stoją przed tobą, hardo, a wielka nawa ciągnie się z pod kopuły rytmicznie, otoczona rojem kaplic. Z razu nic cię tu nie uderzyło i wszystko zwyczajnem wydało, a powoli dostrzeżesz, że tu po kaplicach lotne kolumny dźwigają greckie przyczołki, że czterysta posągów zasiadło w kościele, że moc starożytnej Romy wskrzeszona, tylko piękniejsza i w ład ujęta. (C. d. n.)

PORTYK

„Z Comedie de la mort"

TEOFILA GAUTIER.

Niechaj z was żaden, słuchacze moi,
U smętnych książki stojąc podwoi,
Szat jej nie bluźni żałobie,
Niestety wszystko co w górę strzela,
Tak pomnik żalu jak i wesela,
Szuka podwalin swych w grobie.

Niestety! Wszystko lotne w obłoki,
I smukła wieża i dąb szeroki
Zanim wyrośnie z nad ziemi
Musi wprzód w głąb jej zagrząść na tyle,
Musi w otchłani, musi w mogile,
Stopami utknąć swojemi.

I to co w górze piękne a czyste
Białe marmury, krzyże złociste,
Las minaretów a wieży;
To wsparte w dole na smętnej celi,
Kędy w całunów chłodnej pościeli
Z rękoma na krzyż trup leży!

I to co w górze rozpromienione,
Główki aniołów w wianek splecione
I rzeźb misterne przędziwa;
To wsparte w dole na czarnym lochu,
Gdzie w wiecznych cieniach i w ciemnym prochu,
Proch stu pokoleń spoczywa.

Więc i ta książka wszechprawu gwoli
Stopą swą grzęznąc w cmentarnej roli,
Grobowym wlokąc się dołem;
Głową się wspina, wspina do góry,
Aż w ideału wzleci lazury,
Aż się podźwignie kościołem!

J. S. Chamiec.

LAMPA HERO

Z L. Ackermann.

Kiedy z kochanką, Leander śmiały
Na czułe dążąc spotkanie,
Z nad Helespontem sterczącej skały,
W morskie się ciskał otchłanie;

Hero mu z brzegu lampy promykiem,
Co gwiazdką w nocnej lśnił dobie,
I przytłumionym trwogi wykrzykiem,
Drogę znaczyła ku sobie.

I choć toń czasem burzą się wzdyma
Pewny iż luba trud spłaci,
Światełko lampy mierząc oczyma
Pływak nasz serca nie traci.

Póki to światło, gwiazdka przewodnia,
W mglistej połyska oddali,
Dopóty burzy wyć choćby do dnia
Choć do dnia piętrzyć się fali.

Jako z młodzianem greckim przed laty
Tak z każdym pono tu bywa,
Każdy, by zerwać marzeń swych kwiaty,
Jakiś Helespont przepływa.

Każdemu w nocy wśród burz żywota
Drogę przez morskie obszary,
Wytyka jakaś gwiazdeczka złota,
Gwiazdka miłości i wiary.

Póki ją pływak widzi z daleka,
Póki w jej ufa miganie,
Póty na walkę, na trud co czeka,
I sił i serca mu stanie.

Póty go zwątpień nie połkną fale,
Po nad dni życia żeglugą,
O lampko Hery! O ideale!
Świeć nam wciąż jeszcze! Świeć długo!

J. S. Chamiec.

KARTKA MIŁOŚCI.

POWIEŚĆ

EMILA ZOLI.

Spolszczyła

WINCENTA LIMANOWSKA.

CZĘŚĆ CZWARTA.

(Ciąg dalszy).

III.

Nazajutrz Rozalia dopiero koło dziewiątej mogła podać kawę. Helena wstała późno; była blada i znużona. Dotknęła ręką kieszeni u sukni, uczuła w niej list i, nic nie mówiąc — siadła przed stolikiem. Joanna także miała głowę ciężką i wyraz twarzy niespokojny. Niechętnie wstała z łóżka; tego rana nie miała już serca do zabawy. Niebo pochmurne blade światło rzucało na pokój, i od czasu do czasu nagła ulewa biła o szyby okna.

— Panienka w czarnem usposobieniu — rzekła Rozalia, która sama tylko mówiła dzisiaj. — Dwa dni z rzędu nie może być w różowym humorze... Nie trzeba było skakać wczoraj tak wiele!

— Czyś słaba, Joanno? — spytała Helena.

— Nie, mamo — odpowiedziała mała. — To ten brzydki czas.

Helena zapadła znowu w milczenie. Skończywszy pić kawę, siedziała zamyślona, patrząc na ogień. Wstając, powiedziała sobie, że obowiązkiem jej było rozmówić się z Julią i skłonić ją do zaniechania tej schadzki. Jak miała dokonać tego, nie wiedziała, ale krok ten wydawał się jej teraz koniecznym; myśl o nim opanowała ją wyłącznie. Kiedy dziesiąta wybiła, ubrała się. Joanna patrzyła na nią. Zobaczywszy, że matka bierze kapelusz, zacisnęła swe małe rączki, jak gdyby z chłodu, a na twarzy pojawił się wyraz cierpienia. Zwyczajnie budziła się w niej zazdrość, kiedy matka wychodziła; nie chciała rozstawać się z nią, żądała wszędzie iść za nią.

— Rozalio — rzekła Helena — spiesz się sprzątać pokój i nie wychodź nigdzie. Ja zaraz wracam.

Pochyliła się, spiesznie ucałowała Joannę, nie spostrzegając jej zmartwienia. Jak tylko wyszła, dziewczynka, która przez dumę nie skarżyła się, wybuchła płaczem.

— O! jak to brzydko, panienko! — powtarzała Rozalia, pocieszając niby. — Nikt przecie nie ukradnie mamy twojej. Trzebaż pozwolić jej zajmować się interesami, jakie ma... Nie można przecie wisieć zawsze u jej spodnicy.

Helena zawróciła na ulicę Vineuse; szła koło samego muru chroniąc się przed deszczem. Piotr otworzył drzwi przed nią; ujrzawszy ją, jak gdyby zmięszał się.

— Pani Deberle u siebie?

— Tak, pani; tylko, nie wiem...

I kiedy Helena, jako domowa, zmierzała do salonu, pozwolił sobie zatrzymać ją.

— Proszę panię zaczekać, pójdę dowiedzieć się.

Wśliznął się do pokoju, otwierając drzwi, jak mógł najmniej, i w tej chwili dał się słyszeć głos Julii, która gniewała się.

— Jakto, wpuściłeś! Wyraźnie ci zakazałam... To do nieuwierzenia, ani jednej chwili spokojnej.

Helena pchnęła drzwi; postanowiła spełnić to, co uważała za swój obowiązek.

— Ah! to pani! — rzekła Julia spostrzegając ją. — Niezrozumiałam dobrze...

Ale miała wciąż minę niezadowolnioną. Widocznie obecność Heleny przeszkadzała jej.

— Czy zawadzam pani? — spytała Helena.

— Nie, nie... Zaraz wytłumaczę się. Gotujemy niespodziankę. Powtarzamy „Kaprys,“ bo chcemy go grać tutaj w którą środę. Wybraliśmy na to ranek, ażeby się nikt nie domyślił... O! teraz zostań. Zachowasz tajemnicę, nic więcej.

I klasnąwszy w ręce, zwróciła się do pani Berthier, która stała na środku salonu, i nie zwracając już uwagi na Helenę — rzekła do niej:

— Pracujmy zatem... Nie tak jak trzeba wymawiasz en frazes: „Robić po kryjomu sakiewkę dla męża, to w oczach wielu ludzi wydałoby się więcej niż romansowem...“ Powtórz to.

Helena zadziwiona, że zastała ją zatrudnioną czemś podobnem, usiadła na stronie. Stół i krzesła przysunięto do ściany, a dywan pozostawiono swobodny. Pani Berthier, delikatna blondynka, powtarzała swój monolog i, przypominając sobie wyrazy jego, podnosiła głowę w górę; pani Guirand, piękna brunetka, która przyjęła na siebie rolę pani de Léry, siedziała w fotelu, oczekując chwili, w której miała wystąpić. Panie te w porannej toalecie nie zdjęły ani kapeluszy, ani rękawiczek. Przed niemi Julia rozczochrana, osłonięta wielkim podwłośnikiem z białego kaszmiru, trzymała w ręce tom Musseta i z pewną miną reżysera wskazywała artystkom, jak mają naginać swój głos, jak mówić, jak grać. Dzień był ponury, podniesiono przeto firanki z haftowanego tiulu i zaczepiono je na zasuwce u okna i po za niemi widać było ciemny, wilgotny ogród.

— Za mało wzruszenia okazujesz — oświadczyła Julia. — Więcej znaczenia nadawaj słowom, każde z nich powinno trafiać do serca. „A więc, moja droga mała sakiewko, dokończmy teraz stroju twojego...“ Powtórz to.

— Będę bardzo źle grała — rzekła pani Berthier tonem omdlewającym. — Czemu nie grasz tego pani sama. Byłabyś doskonałą Matyldą.

— Oh! ja, nie. Naprzód, trzeba do tego blondynki. A potem, jestem bardzo dobrym profesorem, ale sama wykonywać nie potrafię... Pracujmy, pracujmy.

Helena siedziała w swoim kąciku. Pani Berthier, zajęta swą rolą, nie odwróciła się nawet. Pani de Guirand lekko skłoniła jej głową. Helena sama czuła, że była natrętną, że nie powinna była siadać tutaj. Zatrzymywała ją teraz już nie tyle myśl obowiązku, który miała do spełnienia, ile szczególne jakieś uczucie, głębokie a nieokreślone, którego niekiedy doświadczała tutaj. Cierpiała nad obojętnem przyjęciem, jakiego doznawała czasem od Julii. Ta ostatnia w uczuciach swoich zawsze się kierowała chwilowym kaprysem jedynie: przez trzy miesiące wielbiła kogoś, rzucała mu się na szyję, oddychała tylko jego życiem; potem, pewnego poranku, nie wiedzieć po co i na co zdawała się go niepoznawać wcale. Zapewne, tak w tem jak i w innych rzeczach szła za modą, potrzebą kochania tych, których inni kochali. Te nagłe skoki czułości boleśnie raziły Helenę, której umysł rozległy i spokojny zawsze marzył o wieczności. Często wychodziła od Deberle'ów bardzo smutna, prawdziwie zrozpaczona tem, że tak mało rachować można na uczucia ludzkie. Ale dnia tego w przełomie uczuć, w jakim się znajdowała, boleść ta jeszcze żywszą była.

— Opuścimy scenę Chavigny'ego — rzekła Julia. — Nie przyjdzie dzisiaj... Teraz wchodzi pani Lery. Na panią kolej, pani Guirand... Proszę odpowiedzieć.

I przeczytała:

„Wyobraź sobie — pokazuję mu tę sakiewkę!...“

Pani de Guiraud powstała. Mówiła głosem gardłowym, przybrała oraz minę rozstrzepaną i mówiła:

— „Patrzcie, to wcale ładne. Zobaczmy.“

Helena, wchodząc tutaj, wyobrażała sobie zupełnie inną scenę. Sądziła, że znajdzie Julią znerwowaną, bladą bardzo, drżącą na myśl schadzki, wahającą się a nie mającą siły oprzeć się pokusie; wyobrażała przytem, jak sama będzie ją zaklinała, by się zastanowiła nad tem, co robi, aż nareszcie młoda kobieta, łkając rzuci się jej na szyję. Obie wówczas płakałyby razem, Helena odeszłaby z myślą, że Henryk stracony odtąd dla niej na zawsze, ale że zapewniła mu szczęście. Tymczasem inaczej zupełnie stało się; trafiła na powtórzenie teatralne, którego wcale nie rozumiała; widziała Julię z twarzą spokojną, wypoczętą jak po nocy dobrze przespanej, z umysłem na tyle swobodnym, że mogła roztrząsać giesta pani Berthier, nie troszcząc się wcale o to, co ma sama robić po południu. Ta obojętność, ta lekkomyślność mroziły Helenę, która pałała uczuciem.

Chciała coś powiedzieć i na los szczęścia spytała:

— A któż ma być Chavigny'm?

— Malignon — odpowiedziała Julia, obracając się z miną zadziwioną. Całą przeszłą zimę, grał Chavigny'ego... To jest nieznośna rzecz, że nie można go mieć na powtórzeniach... Słuchajcie panie, przeczytam rolę Chavigny'ego. Bez tego nigdy nie dojdziemy do końca.

I ona wreszcie zaczęła grać także, przedstawiając mężczyznę; porwana prądem zabawy, mimowolnie przybierała grubszy głos i męski układ. Pani Berthier gruchała; gruba pani de Guiraud zadawała sobie niesłychaną pracę, by okazać się żywą i dowcipną. Piotr przyniósł drzewa do pieca i z pod oka przypatrywał się tym paniom; wydawały mu się bardzo zabawne.

Helena, chociaż serce jej ściskało się, trwała jeszcze w zamiarze swoim i w tym celu usiłowała odprowadzić Julię na stronę.

— Na chwileczkę tylko. Mam coś do powiedzenia pani.

— Oh! niepodobna, moja droga... Widzisz, jak jestem zajęta... Jutro, jeżeli będziesz miała czas.

Helena umilkła. Lekceważący ton młodej kobiety obrażał ją. Czuła w sobie gniew, widząc ją tak spokojną, podczas kiedy ona sama tak okropnie dręczyła się od wczoraj. Była chwila, kiedy już miała powstać i pozostawić rzeczy ich biegowi. Co za niedorzeczność z jej strony, chcieć uratować tę kobietę; nocna jej męka rozpoczęła się na nowo; rozpaloną od gorączki ręką ścisnęła list, który miała w kieszeni. Dla czegoż miała kochać innych, kiedy inni nie kochali jej i nie cierpieli jak ona?

— Oh! bardzo dobrze — nagle zawołała Julia.

Pani Berthier oparła była głowę na ramieniu pani de Guirand i, łkając — powtarzała.

— „Jestem pewna, że kocha ją, jestem tego pewna.“

— Będziesz miała szalone powodzenie — rzekła Julia. — Zatrzymaj się, nieprawdaż?... „Jestem pewna, że kocha inną, jestem tego pewna...“ I spuść głowę. Ślicznie... Na panią kolej, pani de Guirand.

— „Nie, moje dziecię, to być nie może; to kaprys, to fantazya...“, deklamowała gruba pani.

— Doskonale! Ale scena trochę długa. Nieprawdaż? Odpoczniemy... Musimy dobrze przygotować scenę.

Wszystkie trzy wówczas zaczęły rozstrząsać kwestyą urządzenia salonu. Drzwi sali jadalnej na lewo miały służyć do wchodzenia i wychodzenia aktorom; na prawo miał stanąć fotel, w głębi kanapa, a stół koło komina. Helena powstała także, gdy i ją również obchodziły te projekta zabawy. Wyrzekła się już pierwszego zamiaru swego, nie myśliła wywoływać żadnego objaśnienia, chciała tylko jeszcze ostatniego użyć środka, któryby przeszkodził Julii udać się na tę schadzkę.

— Chciałam — rzekła — zapytać panię, czy nie dzisiaj to masz być u pani de Chermette?

— Tak, popołudniu.

— A więc, jeżeli pozwolisz pani, przyjdę cię zabrać i pójdziemy razem; oddawna już obiecałam tej pani odwiedzić ją.

Julia zmięszała się na chwilę, ale natychmiast odzyskała przytomność.

— Zapewne, że byłoby mi to bardzo przy-

emnie... Ale mam być w wielu miejscach i za rozmaitemi sprawunkami; nie wiem przeto prawdziwie, o której godzinie będę mogła być u pani de Chermette.

— Nic to nie szkodzi — odpowiedziała Helena; — użyję przechadzki.

— Posłuchaj mię pani, mogę mówić z tobą szczerze... Nie nalegaj, proszę, zawadzałabyś mi... Odłóżmy to na inny poniedziałek.

Powiedziała to bez najmniejszego wzruszenia, tak wyraźnie i z tak spokojnym uśmiechem, że Helena zmięszana nie odpowiedziała już wcale. Musiała podać rękę Julii, która chciała zaraz przenieść stolik do komina. Potem cofnęła się, a powtórzenie szło dalej. Po zakończeniu sceny, pani de Guiraud w monologu swoim, z wielką siłą wypowiedziała te dwa frazesa:

— „Ależ jaka to przepaść to serce mężczyzny! Ah! na honor, więcej niż oni warte jesteśmy!“

Cóż miała począć teraz? I na to pytanie w głowie jej powstał straszny zamęt gwałtownych myśli. Czuła nieprzepartą potrzebę pomszczenia się nad pięknym spokojem Julii, jak gdyby ten spokój był obelgą dla gorączki, która nią samą miotała. Myślała o zgubie Julii, chciałaby widzieć, czy i wówczas jeszcze potrafi zachować zimną krew swoją! Wreszcie pogardzała sobą za delikatność i skrupuły, którymi się rządziła dotąd. Ileż razy powinna była już powiedzieć Henrykowi: „Kocham cię, bierz mię, uciekajmy,“ i nie drżeć i mieć spokojną, białą twarz tej kobiety, która na trzy godziny przed swoją pierwszą schadzką, grała komedyą u siebie. Teraz jeszcze Helena drżała więcej niż ona, i to właśnie doprowadzało ją do szaleństwa. Wśród uśmiechniętego spokoju salonu tego wrzała gniewem i bała się wybuchnąć nagle w namiętnych wyrazach. Czy byłaby tchórzem?

W tej chwili drzwi otwarły się, i głos Henryka dał się słyszeć:

— Nie będę przeszkadzał... Przejdę tylko.

Powtórzenie miało się ku końcowi, Julia, wciąż czytając rolę Chavigny'ego, chwyciła była właśnie rękę pani de Guirand.

— „Ernestyno, uwielbiam cię!“ — wołała w szczerem uniesieniu.

— „A więc, nie kochasz już pani de Blainville?“ — wyrzekła pani de Guirand.

Ale Julia nie chciała czytać dalej, dopóki jej mąż nie odejdzie. Niepotrzeba, żeby mężczyźni wiedzieli o tem. Doktor okazywał się bardzo uprzejmym względem tych pań; chwalił je i obiecywał wielkie powodzenie. Z twarzą ogoloną, w czarnych rękawiczkach, wracał z wizyt. Wchodząc, pozdrowił był Helenę lekkiem skinieniem głowy. Mówił tym paniom, że widział niegdyś w komedyi francuskiej wielką jedną artystkę w roli pani de Léry i wskazywał przytem pani de Guirand pewne tajemnice sceny.

— W chwili, kiedy Chavigny ma paść do nóg pani, zbliżasz się do kominka i rzucasz sakiewkę w ogień. Zimno, bez gniewu, jak kobieta, która udaje miłość...

— Dobrze, dobrze, zostaw nas — powtarzała Julia. — Wszystko to wiemy.

Kiedy nakoniec mąż jej otworzył drzwi do gabinetu swego, znowu powtórzyła:

— „Ernestyno, uwielbiam cię!“

Henryk, zanim wyszedł, pożegnał znowu Helenę kiwnięciem głowy. Ona stała w milczeniu, spodziewając się jakiejś katastrofy. To niespodziane ukazanie się męża zdawało się jej bardzo groźnem. Ale kiedy wyszedł, wydał się jej śmiesznym ze swą grzecznością i swem zaślepieniem. On także zajmował się tą głupią komedyą! A oczy jego nie zabłysły nawet, gdy spostrzegł ją tutaj! Cały dom wydał się jej teraz nieprzyjaznym i zimnym. Wszystko runęło, nic ją tu już nie zatrzymywało, bo nienawidziała teraz Henryka tyleż co i Julią. Zakurczonymi palcami trzymała list w głębi kieszeni. Wyjąkła „do widzenia“ i wyszła przy takim zawrócie głowy, że meble tańczyły jej w oczach. Wyrazy, które pani de Guirand wyrzekła była właśnie, dzwoniły jej w uszach:

— „Do widzenia. Dzisiaj może się będziesz gniewał, ale jutro uczujesz trochę przyjaźni dla mnie, a wierzaj mi, że to więcej warte jak kaprys.“

Zamknąwszy za sobą drzwi domu, Helena znalazła się na chodniku; gwałtownym i jak gdyby mechanicznym ruchem wyciągnęła list z kieszeni i wsunęła go do puszki. Zrobiwszy to, stała jeszcze chwilę z osłupiałym wzrokiem, patrząc na wąską blaszkę mosiężną, która opadła na swe miejsce.

— Stało się — rzekła Helena do siebie półgłosem.

Widziała przed sobą dwa pokoje, obite różowym kretonem, berżerki, wielkie łóżko; Malignon i Julia byli tam; nagle ściany rozsunęły się, i mąż wszedł, i dalej już nic nie wiedziała, a była przytem zupełnie spokojna. Instynktowo obejrzała się, czy nie widziała, a była przytem zupełnie spokojna. Instynktowo obejrzała się, czy nie widział ją kto; jak wkładała list. Ulica była pusta. Obeszła róg domu i wróciła do siebie.

— Grzeczna byłaś? kochanko — rzekła, całując Joannę.

Mała siedziała na tym samym fotelu. W odpowiedzi na to zapytanie podniosła zadąsana twarzyczkę i zarzuciła ręce na szyję matki i całując ją głęboko, westchnęła. Bardzo była zmartwiona.

Przy śniadaniu Rozalia dziwiła się.

— Pani musiała być gdzieś daleko?

— A to dla czego? — spytała Helena.

— Bo pani je z takim apetytem... Dawno już nie jadła pani tak dobrze...

Była to prawda. Helena bardzo była głodna; apetyt wrócił, bo nagłej doznała ulgi. Czuła się spokojną i zupełnie zadowolnioną. Po gwałtownem wstrząśnieniu dwóch ostatnich dni, wielka cisza zrobiła się w jej sercu; członki jej były wypoczęte, giętkie jak po wyjściu z kąpieli. Doznawała jednak uczucia jakiegoś ciężaru gdzieś, ciężaru nieokreślonego, który ją przygniatał.

Kiedy weszła do pokoju, oczy jej skierowały się wprost na zegar; na nim było dwadzieścia pięć minut na pierwszą. Schadzka Julii wyznaczona była na trzecią godzinę. A zatem jeszcze dwie i pół godziny pozostawało. Machinalnie to obrachowała. Zresztą, nie spieszyło się jej wcale, skazówki posuwały się, i nikt w świecie nie mógłby już teraz zatrzymać ich; pozostawiała rzeczy ich własnemu biegowi. Oddawna już zaczęty czepeczek dziecinny walał się po stole. Wzięła go i zaczęła szyć przed oknem. Wielka cisza zapadła w pokoju. Joanna usiadła na zwykłem swem miejscu, ale zmęczone swe rączki bezczynie opuściła.

— Mamo — rzekła — nie mogę pracować, nie bawi mię to.

— A więc nie rób nic, kochanko... Masz, nawlekaj mi igiełki.

Dziecię, milcząc, powolnym ruchem zajęło się nawlekaniem igieł. Starannie ucinała równe kawałki nitek, i długo bardzo szukała dziurki w igiełce. I kończyła w samą porę; matka zmieniała po kolei igiełki, które jej przygotowywała.

— Widzisz — szepnęła — tak idzie prędzej... Dziś wieczór, może sześć czepeczków będą skończone.

I odwróciła się, by spojrzeć na zegar. Dziesięć minut na drugą. Jeszcze dwie godziny prawie. Teraz Julja zapewne zaczyna się ubierać. Henryk otrzymał już list. Oh! z pewnością pójdzie. Wskazówki były dokładne, znajdzie natychmiast. Ale wszystko to wydawało się jej jeszcze bardzo dalekiem, i czuła się zupełnie obojętną. Szyła równymi ściegami, pilnie jak robotnica. Minuty upływały jedna za drugą. Druga godzina wybiła,

W tej chwili uderzenie dzwonka zadziwiło ją.

— Któż to taki? mateczko — spytała Joanna, która podskoczyła na krzesełku.

A kiedy pan Rambaud wszedł — rzekła:

— To ty!... Dla czego dzwonisz tak mocno? Przestraszyłeś mnie.

Poczciwy człowiek zmięszał się. W istocie, trochę za silnie pociągnął był dzwonek.

— Niegrzeczna jestem dzisiaj, boli mię — mówiło dalej dziecię. — Nie trzeba mię przestraszać.

Pan Ramband zaniepokoił się. Cóż to było biednej dziecinie? I nie uspokoił się, nie usiadł, aż spostrzegł lekki znak, który mu Helena dawała, że dziecię było w czarnym humorze, jak mówiła Rozalja... Zwykle rzadko kiedy przychodził we dnie. To też zaraz wyjaśnił cel swej wizyty. Chodziło mu o ziomka jednego, starego robotnika, który nie mógł znaleść pracy dla podeszłego wieku swego, i który miał żonę sparaliżowaną a mieszkał w małym jak dłoń pokoiku. Trudno było wyobrazić sobie podobną nędzę. Tegoż rana pan Rambaud był u nich dla przekonania się. Mieszkanie ich, to była dziura pod dachem z maluśkiemi okienkami; przez szyby wybite deszcz swobodnie lał do mieszkania. Wewnątrz siennik, na nim kobieta owinięta w starą firankę i mężczyzna ogłupiały, siedzący na ziemi i nie mający sił, by zamieść przynajmniej izdebkę.

— Oh! nieszczęśliwi, nieszczęśliwi! — powtarzała Helena — wzruszona do łez.

Nie o starego robotnika troszczył się pan Rambaud. Wziąłby go do siebie i znalazłby jakie zajęcie dla niego. Ale co zrobić z kobietą sparaliżowaną, której mąż nie śmiał pozostawić samą na chwilę, i którą trzeba było podnosić i kłaść jak tłomok; co z nią począć?

— Pomyślałem o pani — mówił dalej; — trzeba, żebyś się postarała natychmiast, by ją przyjęto w szpitalu.. Byłbym poszedł wprost do pana Deberle, ale sądzę, że pani znając go bliżej, łatwiej i prędzej dokonasz tego... Jeżeli tylko zechce zająć się tem, wszystko się da jutro jeszcze załatwić.

Joanna blada, wzruszona litością, słuchała uważnie. Złożyła ręce i szepnęła:

— O! mamo, bądź dobra, umieścić tę kobietę w szpitalu.

— Ale z pewnością! — rzekła Helena, co raz bardziej wzruszona. — Pomówię z doktorem, jak tylko będę mogła, sam poczyń potrzebne kroki... Proszę o nazwizko i adres, panie Rambaud.

Pan Rambaud zrobił notatkę na stoliku. Potem wstając rzekł:

— Teraz jest trzydzieści pięć minut na trzecią. Możebyś pani mogła znaleść już doktora w domu.

Helena powstała także, popatrzyła na zegar i podskoczyła prawie z przerażenia. Tak było w istocie, trzydzieści pięć minut na trzecią.

Zaczęła się jąkać, tłumaczyć, że doktor musiał już wyjść z wizytami. Oczy jej nie schodziły z zegara. Tymczasem pan Rambaud, stojąc z kapeluszem w ręku, zatrzymywał ją, na nowo rozpowiadając historyą biedaków. Nieszczęśliwi wszystko sprzedali, piecyk swój nawet; całą zimę dnie i noce spędzali bez ognia... W końcu grudnia cztery dni nic nie jedli. Helena wykrzyknęła boleśnie. Wskazówki posunęły się o pięć minut dalej. Pan Rambaud jeszcze dwie minuty zabawił.

— A więc, rzekł nareszcie — liczę na panię—

I pochylił się dla ucałowania Joanny:

— Do widzenia, moja droga.

— Do widzenia... Bądź spokojny, mama nie zapomni, ja będę przypominała jej.

Kiedy Helena wróciła z przedpokoju, dokąd była przeprowadziła pana Bambaud, zegar wskazywał trzy kwadranse. Za kwadrans wszystko się skończy. Nieruchomie stojąc przed kominem, żywo wyobraziła sobie scenę, która miała się tam odegrać: Julia była w różowym pokoju, Henryk wchodził i znajdował ją. Znała pokój, z przerażającą dokładnością odtwarzała sobie wszystkie szczegóły jego. Poruszona boleśną historyą pana Rambaud, uczuła wielki dreszcz, co ją przebiegł od stóp do głowy. I w sercu jej podniósł się krzyk wielki. To, co zrobiła, ten list napisany, ta haniebna denuncyacya, to była podłość. Teraz, przy olśniewającem świetle sumienia własnego, pojęła to nagle. I to ona dopuścić się mogła takiej podłości! I przypomniała sobie, jak wrzucała do puszki list z odrętwiałością osoby, która patrzyła na zły czyn, nie starając się przeszkodzić mu. Teraz budziła się jak gdyby ze snu. Co zaszło takiego? czego stała przed zegarem i śledziła bieg wskazówek jego? I znowu upłynęły dwie minuty.

— Mamo — rzekła Joanna — jeżeli chcesz, razem pójdziemy dziś wieczór do doktora... Przejdę się trochę. Duszno mi dzisiaj.

Helena nie słyszała. Jeszcze trzynaście minut. Nie mogła przecie pozwolić, by tak haniebna rzecz spełniła się. W tem przebudzeniu dawnych pojęć o prawości górowała teraz gwałtowna chęć przeszkodzenia złemu. Trzeba przeszkodzić, inaczej żyć by nie mogła. I jak szalona wbiegła do pokoju swego.

— Ah! weźmiesz mię — zawołała Joanna radośnie. — Pójdziemy zaraz do doktora, nieprawdaż mateczko?

— Nie, nie — odpowiedziała matka jej, szukając bucików i nachylając się po nie aż pod łóżko.

Nie znalazła ich; niedbale pomyślała sobie, że wyjść może w małych pokojowych trzewikach, które miała na sobie. Zaczęła przewracać w szafie, szukając szalu. Joanna zbliżyła się.

— To nie do doktora idziesz? mateczko — rzekła z pieszczotliwą minką.

— Nie.

— Ale weź mię z sobą... Oh! weź z sobą, zrobisz mi taką przyjemność!

Nakoniec, znalazła szal, zarzuciła go na ramiona. Mój Boże! dwanaście minut, tyle tylko, by przebiegnąć ulicę. Pójdzie tam, co zrobi, mniejsza o to, namyśli się w drodze.

— Mateczko, weź mię — prosiła Joanna głosem coraz cichszym i coraz tkliwszym.

— Nie mogę cię wziąć — rzekła Helena. — Idę tam, gdzie dzieci nie chodzą... Daj mi kapelusz mój.

Twarzyczka Joanny pobladła. Oczy jej pociemniały, głos stał się ostry.

— Gdzie idziesz? — spytała.

Matka nie odpowiedziała nic; zajęta była kapeluszem, który podwiązywała. Dziecię mówiło dalej:

— Zawsze teraz wychodzisz bezemnie... Wczoraj wychodziłaś; dzisiaj także i teraz znowu wychodzisz. To nadto smutno, boję się tu sama... Oh! umrę, jeżeli mię zostawisz... Słyszysz, mateczko, umrę...

Tu, łkając z bolu i gniewu, uczepiła się sukni Heleny.

— No, puść mię, bądź rozsądna, zaraz wrócę — powtarzała matka.

— Nie! nie chcę... nie, nie chcę... — jąkało dziecię. — Oh! nie kochasz mię już, inaczej wzięłabyś mię... Oh! czuję dobrze, że innych kochasz więcej niż mnie... Zabierz mię, zabierz mię, albo będę leżała na ziemi, znajdziesz mnie na ziemi...

I małemi rączkami swemi opasała nogi matki; płacząc, kryła twarz między fałdami jej sukni, czepiając się jej, wieszając, by nie dopuścić wyjścia. Wskazówki posuwały się, dziesięć minut tylko brakowało do trzeciej. Wówczas Helena pomyślila, że nigdy nie dojdzie na czas, i tracąc głowę, gwałtownie odepchnęła Joannę, wołając:

— Co za nieznośne dziecko! To prawdziwa tyrania!... Jeżeli będziesz płakała, to ja się rozprawię z tobą!

Wyszła, trzasnąwszy drzwiami. Joanna, słaniając się, cofnęła do okna; zbladła, zdrętwiała, łzy jej zatrzymały się pod wpływem tego szorstkiego obejścia się. Wyciągnęła ręce ku drzwiom i dwa razy jeszcze zawołała: „Mamo! mamo!“ Upadła na krzesło; oczy miała rozszerzone, a twarz wzburzoną na tę myśl zazdrośną, że matka ją oszukiwała.

Znalazłszy się na ulicy, Helena przyspieszyła kroku. Deszcz ustał; wielkie krople, spływając z rynien, ciężko spadały jej na ramiona. Miała namyślić się, ułożyć plan jakiś w drodze. Ale teraz chodziło jej o to już tylko, by przybyć na czas. Wszedłszy do pasażu wód zawahała się chwilę. Schody zamieniły się w potok; rynsztoki z ulicy Raynouard wystąpiły z brzegów i wpadały z szumem. Wzdłuż stopni, między ścieśnionemi ścianami bryzgała piana, ostre wierzchołki kamyków, opłukane deszczem, migotały. Blade światło z zasłoniętego chmurami nieba oświecało pasaż z pomiędzy czarnych gałęzi drzew. Zeszła, zaledwie podnosząc suknię swą. Woda sięgała kostek jej, małe trzewiki omal nie ugrzęzły w kałużach. Wzdłuż pochyłości słyszała kolo siebie wyraźny szept, podobny do szmeru strumyków, płynących pod trawą w lasach.

Nagle znalazła się na schodach, przed drzwiami. Zadyszana, wzburzona, zatrzymała się tam. Potem przypomniała sobie, że lepiej zapukać do kuchni.

— Jak to, to pani! — rzekła matka Fétu.

Głos jej nie był już płaczliwy. Małe oczka świeciły się, wyraz uśmiechniętej usłużności drgał w tysiącznych zmarszczkach twarzy. Słuchając urywanych słów Heleny, śmiało już teraz klaskała w jej ręce. Helena dała jej dwadzieścia franków.

— Bóg ci to wynagrodzi! — wyjąkała matka Fétu przez przyzwyczajenie. — Rób co chcesz, moja mała.

(C. d. n.)

UWAGI NAD WYSTAWĄ PARYZKĄ.

I.

Znane są dzieje tegorocznej wystawy paryzkiej. Czasopisma opisywały szeroko i długo zeszłego roku tak powody, dla których Francya postanowiła urządzić wystawę, jak i zarzuty jakie przeciw temu postanowieniu podniosły Niemcy. Przeto jedne i drugie są znane a przynajmniej powinny być znane naszym czytelnikom. Jednakże ośmielamy się pobieżnie je tutaj powtórzyć w przekonaniu, że odświeżenie w pamięci tej walki międzynarodowej, przez które zwycięzko przeszedł projekt francuski, dopomoże nam wielce zarówno do zbadania samej wystawy jak i do ocenienia, ażali ona celu swego dopięła. Nic tak bowiem zjawiska nie tłomaczy jak znajomość jego genezy.

Wystawa tegoroczna jest dzieckiem, bezpośredniem następstwem wojny 1870 i 1871 roku. Paradoksalnem może się to zrazu zdawać, a jednak jest w tem wiele prawdy. Wystawy międzynarodowe są kreacyą najnowszych czasów; za nadto przeto mało zostały jeszcze zbadane, za nadto mało dostarczyły pola do obserwacyi, aby o ich roli społecznej zdołano wszystko wypowiedzieć, aby potrafiono zdać sobie sprawę ze wszystkich nici, które je wiążą z innemi przejawami życia społecznego. A przecież nici takie istnieć muszą. Socyologia uczy, że wszystkie rodzaje społecznej pracy, że wszelkie formy społecznego życia powiązane są ze sobą w sieć przyczynowych stosunków, zespolonych tak ściśle ze sobą i tak nawzajem od siebie zależnych, że dość jedno oczko tej sieci przeciąć, aby sieć na rozprucie narazić. Zbadano przecież, że sprawy społeczne nie mające ze sobą na pozór żadnego pokrewieństwa, jak np. cena artykułów żywności a liczba zawieranych małżeństw, tak dalece są od siebie zależne, że każda fluktuacya w jednej z nich pociąga za sobą odpowiednią i naprzód dającą się oznaczyć fluktuacyą w drugiej. Więc jakkolwiek wystawy międzynarodowe nie należą do kategoryi stałych, codziennych, trwałych przejawów życia społecznego, takich np. jak sprawy małżeńskie, a występują jeno perjodycznie; któż jednak zdoła utrzymywać, a przedewszystkiem kto zdoła udowodnić, że między niemi a innemi również perjodycznemi objawami życia społecznego, jak np. wojną, nie ma zgoła żadnej przyczynowej zależności.

Zresztą, przypuszczenia tego obraniać wcale nie myślimy. W ostatnich latach mieliśmy tyle wystaw i tyle wojen, plątały się one ze sobą tak rozmaicie, sprzyjały im nieraz tak dziwacznie (jak np. wojna krymska i wystawa 1855 r.), że wyśledzenie nici łączącej je ze sobą wymaga obszernych studjów. Rzuciliśmy jednak tę myśl przelotnie i wyprowadziliśmy ją w szranki nie dla tego wcale, aby usprawiedliwić zdanie nasze, wypowiedziane powyżej, o pokrewieństwie wiążącem wojnę francusko-niemiecką z tegoroczną wystawą. Bo pokrewieństwo to jest faktem, który natychmiast usprawiedliwi się sam przez się. Ale dla tego jedynie, aby myśl owa, podniesiona do godności umiejętnej hipotezy, teoretycznem swem światłem przyświecała według recepty Baconowskiej praktycznemu opisowi genetycznych czynników tegorocznej wystawy.

Wojna 1870 i 1871 roku zrujnowała niemal doszczętnie przemysłowe życie we wschodniej i środkowej Francyi, a więc w tych jej częściach, które najwyżej stały pod względem przemysłu. Kadry regularnej armii, i legiony ochotnicze, pochłonęły robotników; fabryki i zakłady, porujnowali najezdnicy i swoi. Kiedy się przeto wojna skończyła, Francya nie tylko nie była w możności sprostać swym przemysłowym zobowiązaniom wobec zagranicy, nie tylko nie mogła dalej tym torem jaki sobie otworzyła podczas wystawy 1867 r.

*

dostarczać Europie tysiącznych swych wyrobów, ale nawet nie była w stanie zaspokajać swych własnych potrzeb. To też pierwsze lata po wojnie wskazują we Francyi olbrzymią przewagę importu nad exportem.

Dzięki jednak zdrowym ekonomicznym zasadom, ku podstawie których pozawierała ona była na kilka lat przed wojną traktaty handlowe z innemi mocarstwami, przewaga ta importu nie dała się tak dotkliwie czuć Francyi, i nie sprowadziła takiej klęski ekonomicznej, jaką wywołałaby nieochybnie, gdyby przy zawieraniu owych traktatów miano na oku protekcyjne cele. Teorya swobody handlu odniosła w tym wypadku kompletne i stanowcze zwycięstwo nad systemem ekonomicznego odgraniczania się za pomocą ceł protekcyjnych. Wprawdzie niskie taryfy celne wwozowe zalały zrazu rynki francuskie produktami zagranicznemi. Ale ponieważ taryfy wwozowe normują się według wywozowych, przeto Francya odetchnąwszy nieco, mając otwarte i pozbawione wszelkich celnych płotów drogi do zbytu, odpłaciła się wkrótce zagranicy pięknem za nadobne i nie tylko po paru latach zdołała wyrugować ze swych rynków produkta zagraniczne, ale nadto poczęła swoje w coraz większej ilości za granicę wysyłać. Export zrazu mniejszy od importu, wkrótce mu dorównał, a w końcu przewyższać go począł.

Jednakże to przewyższenie odbywało się dość powolnie, pomimo nawet istotnie podziwienia godnych wysileń Francyi. Rzecz zresztą bardzo naturalna. Przez parę lat — podczas wojny i bezpośrednio po niej — fabrykant francuski nie stawał na żadnym jarmarku Europy. A tymczasem publiczność potrzebowała towarów, żądała aby punktualnie zaspokajano codzienne jej potrzeby i kwartalne kaprysy mody. Kupiec, ten pośrednik pomiędzy fabrykantem a publicznością, nie mogąc zaopatrywać swych składów w towary francuskie, począł się oglądać za towarami innych narodów, wchodzić w stosunki z fabrykantami Belgii, Niemiec, Anglii, nawet Ameryki, a o fabrykacie francuskim, nie widząc go od tak dawna, zapomniał zupełnie, zgubił nawet jego adres. Raz nawiązane kupieckie stosunki nie tak łatwo się rozrywają, jeżeli ich nie przecina jakiś kataklizm dziejowy. Więc chociaż Francya po paru latach zjawiła się znowu na europejskich jarmarkach, i ofiarowała towary pełne dobrego smaku i wdzięku, stanowiącego charakterystykę wyrobów francuskich, niemniej przecie kupcy nie mogli odrazu zwrócić się znowu ku Francyi po prostu dla tego, że pozaciągali zobowiązania względem innych fabrykantów. Pozawierane kontrakta, pootwierane kredyta, pozamawiane obstalunki krępowały ich ruchy i zmuszały iść dalej torem, który z potrzeby otworzyli sobie w czasie przymusowej abstynencyi Francyi. (C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

Z TEKI WIEJSKIEGO SZLACHCICA.

(Dokończenie).

Nie zgodzę się nigdy z dziennikarskiemi korektorami cudzego życia, którzy ustawicznie prześladują obywateli ziemskich za częste przebywanie w Warszawie. Przeciwnie, mojem zdaniem, oni ją odwiedzają zbyt rzadko i skutkiem tego nie ulegają jej dobroczynnym, odradzającym wpływom. Większa część prądów, przenikających i poruszających życie stolicy, przepływa mimo prowincyi i wcale jej nie dosięga. W niejednej sprawie my już dawno przeprawiliśmy się przez rzekę, kiedy inteligencya wiejska rozmyśla, z czegoby most zbudować; my już odkryliśmy Amerykę, kiedy się ona wybiera do Indyi. Nasi obywatele ziemscy przedstawiają obecnie widok zdemontowanych armat: starszych zagważdżają służebności, młodszych miłość. Ostatni wyraz mojej uwagi może na kimś zrobi wrażenie żartu, chociaż go wcale nie użyłem w tym celu. Miłosny nastrój naszego ziemiaństwa jest faktem, zadziwiającym swą powszechnością i mocą. Gdybyśmy psychologicznie rozebrali duchowość młodego człowieka, żyjącego w mieście, znaleźlibyśmy w niej nerw erotyczny splątany z obfitym pasmem innych, równie czułych nerwów: ambicyi, karyerowiczostwa, żądzy sławy, pragnienia wiedzy, przypodobania się zwierzchności i t. d. Obywatel ziemski jest instrumentem, na którym naciągnięte są tylko dwie struny: miłość i rachuba. i w którym zwykle jedna drugą zagłusza. Młodzież wiejsko-szlachecka, odsunięta od pobudek życia różnostronnego a dobrobytem uwolniona od nich, stapia cały swój mózg i serce na myśli i uczucia, wirujące około strzałki Kupidyna. Znudzisz ją, uśpisz, mówiąc o gospodarstwie, o sprawach gminy lub kraju, dopiero potrącenie miłosnej struny wywoła silny dźwięk gorącego życia. Panny Marye, Józefy, Emilie, grają w tej sferze tak wielkie i decydujące role, jak gdyby od ich łask istotnie losy świata zależały. U nas tron kobiety jest na prowincyi, tam one rzeczywiście królują. Tam spotkasz co krok samotników, którzy po nieszczęśliwej miłości przez kilkanaście lat nie wyjeżdżali z domu, i nie stykali się z dalszym światem, spędzając cały ten czas na paleniu fajki i karmieniu szczeniąt, o ile im — rozumie się — na te zajęcia żucie miłosnego kielzna pozwalało. I zkąd to pochodzi? Ztąd, że człowiek pozbawiony czterech zmysłów, otrzymuje wrażenie tylko jednego, że karmiący się wyłącznie swojskim drobiem nie zna smaku bażantów, że ten, kto jest wystawiony ciągle na działanie uroku swej sąsiadki, przytępia w sobie wrażliwość na inne wpływy. Gdybyśmy wziąwszy z pośród siebie kogokolwiek i dawszy mu prosty kij sakłakowy wraz z kucharską książką, osadzili go przymusowo na bezludnej wyspie, z pewnością byłby już zakochany w kiju i umiałby na pamięć całą książkę. Cóż więc dziwnego że młody obywatel ziemski, odcięty od szerszego życia, zamyka się w uczuciach swej bogini? To też mógłby pomiędzy spostrzeżeniami swej *teki* zapisać następującą uwagę: kochanka jest liczbą a wszyscy inni ludzie dostawionemi do niej zerami.

Przerwijmy jednak samodzielnie wysnuwane aforyzmy, bo przecież mamy gotowe, z *teki szlachcica wiejskiego* wyjęte, które jako wydrukowane przedewszystkiem poznać należy. Bezimienny autor, dotykając najrozleglejszych zagadnień, apeluje zawsze do nieba, co z jego spółczesnym charakterem bardzo dobrze się godzi, ale jednocześnie rozpostarłszy nad ludzkością filozoficzne skrzydła, głosi, że ani jednostki, ani narody, ani idee nie mogą być wieczne, lecz muszą innym ustąpić — „sprzeciwiałoby się to bowiem równouprawnieniu innych.“ Prawda ta nie jest ani szlachecka, ani filozoficzna: cóż to za szlachcic, który nie wierzy w wiekuitość swego stanu, i cóż to za filozof, który każe narodom ustępować z historyi w imię „równouprawnienia?“ Lepszym jest „dodatek do Ojczenaszu:... strzeż nas przed utopiami i chroń od nierzetelnych patriotów.“ Jest to modlitwa bardzo właściwa na usta wiejskiego szlachcica. Długo pieścił on swe uszy hasłami krzykliwej miłości dla ogółu i cierpliwie czekał oślepiających jej skutków, długo pozwalał na wystraszanie ze społeczeństwa nowych idei w imię powszechnego dobra, długo odurzał się „utopiami“ i ufał „nierzetelnym patryotom,“ aż nareszcie dziś zawiedziony, prosi Boga, ażeby go strzegł od tych złowrogich pokus. I słusznie robi, że się powierza opiece nieba, bo dobrych rad od własnej roztropności się nie spodziewa, nie jest pewnym, czy go „nierzetelni patryoci“ jeszcze nie zduszą. Gdyby sama szczera cnota posiadała monopol patryotyzmu, możnaby go przyjmować bez podejrzeń, ale ponieważ nim handluje przebiegły występek, trzeba ostrej przenikliwości, ażeby go rozeznać. Czując bolesne następstwa omyłki doświadczony obywatel kraju się strzeże, szlachcic wiejski się modli. Bo cóż go na dobrej drodze utrzyma? „Instynkt lepiej prowadzi niż rozum“ — ostrzega głos z *teki wiejskiego szlachcica* czy podobna ażeby nie zbłądził kulawy prowadzony przez ślepego?

Rozum jest organem nawskróś demokratycznym, serce szlacheckim. Słusznie też autor ze swego stanowiska powiada: „więcej wart ten, co zrobił tysiąc głupstw z dobrego serca, niż ten, kto nigdy żadnego nie zrobił.“ Jest to powszechnie lubiany, narodowy odwar naszej czułości. Pod jego działaniem każdy odrazu zrozumie, że więcej wart ten, kto z dobrego serca tysiące szkód krajowi wyrządził, niż ten, kto nam ani jednej nie zrobił. Dzięki temu rozgrzeszeniu mamy tylu sławionych bohaterów, bo cóż łatwiejszego jak tysiąc głupstw popełnić?...

Ludzi w ten sposób zasłużonych nam nie brak, ale ze smutkiem wyznać trzeba, że w życiu ziemiańsko-obywatelskiem co raz bardziej ginie typ pana a rozradza się typ dorobkowicza. Przepiszmy więc z *teki wiejskiego szlachcica* probierczą w tym względzie regułę: „Fałszywy pan wstydzi się nie mieć złotego zegarka, ale wstydzi się odjeżdżając zostawić portyera z próżną dłonią. Prawdziwy pan nie wstydzi się w sieraczkowym surducie, ale gdyby odjeżdżając nie miał nic prócz ostatniego dukata w kieszeni, ostatni dukat rzuci lokajowi.“ Od czasu jak lepsi nie noszą żółtych butów, gorsi czarnych przyszew, to jest od czasu jak nie można „poznać pana po cholewach,“ wskazanie innego znaku charakterystycznego było bardzo pożądanem. Wprawdzie znak ten jest trudniej od innych dostrzegalnym, ale przynajmniej lokaje mogą w nas poznawać panów prawdziwych...

Nie będę dalej przerzucał przed tobą czytelniku kart *teki szlachcica wiejskiego*, gdyż znalazłbyś w nich wszystko, prócz uwag w takiej tece spodziewanych. Są tam bowiem przeróżne refleksye o przeszłem, teraźniejszem i przyszłem życiu, zupełnie niezależnem od wsi i szlachty, głębsze i płytsze zdania w surowym lub przerobionym stanie z obcych literatur tanim kosztem sprowadzone. Są także i prawdy — jak np. ta, że „kto pokochał Szopena, lada grajka nie zniesie,“ a nawet ta, że „Patti nie w każdej chwili jest przy głosie“ — których oryginalności nikt autorowi z pewnością nie zaprzeczy.

Z najprostszej duszy ludzkiej wysączy się czasem głębsza myśl, która orzeźwiającą kroplą dla innych się staje; częściej jednak po duszy takiej spływają cudze myśli, które ona naiwnie za łzy własne bierze. W obu tych wypadkach znajduje się autor, który nam tytułu do powyższych uwag dostarczył: czasem wykrzesze z siebie drobną iskrę, ale zwykle cudze światło odbija. Błyszczenie wszakże tem pożyczanem światłem łatwiej mu przebaczamy niż kłamstwo na okładce. Obiecał coś pokazać z *teki wiejskiego szlachcica*, a pokazał z teki kompilatora. Czyżby szlachta Galicyi, gdzie książeczka wydana, ogólnemi zagadnieniami filozofii się trudniła i swoją tekę tylko wypisami cudzych zdań trafnych napełniała? Nasz szlachcic wiejski posiada inny materyał, który bez pomocy zagranicznych mistrzów daje się na użytek lite-

ratury przerobić. Trzeba tylko otworzyć jego tekę i wybadać kwity z opłaconych podatków, kontrakty sprzedaży zboża, bilety na loteryą fantową — wszystko wreszcie, co ciekawe tajemnice wyszeptać może.

A. Świętochowski.

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 17. października.

Nie mogę odgadnąć czy to z powodu upadku w Wiedniu i Peszcie dwóch ministeryów, a nadwerężeniu trzeciego wspólno-austryacko-węgierskiego, czy z innych niedocieczonych wpływów, ale w ubiegłym tygodniu Lwów przedstawiał nam się bardzo ponuro. Ołowiane niebo zdaje się przytłaczać najlojalniejsze serca mieszkańców jakąś niewytłumaczoną tęsknotą i niepokojem, zimny Boreasz przejmuje do szpiku nasze kości, a nawet nieme stworzenia, z pozoru pozbawione czucia, jako to, kasztany na Wysokim zamku, pożółkły het ze zmartwienia i w braku łez do dyspozycyi, ronią swe zwiędłe liście, pod stopy przechodniów.

Tego rodzaju uczucie powszechnego rozgoryczenia udzieliło się i obradującej korporacyi sejmowej, której nawet Wydział krajowy, ta kość z kości jego, dogodzić nie może. Sejm jako pojęcie zbiorowe, nie mając ani liści pożółkłych jak kasztany, ani łzy zbiorowej do uronienia, rzuca pod stopy kraju wszystkie ważniejsze projekta ustaw, ograniczając się na uchwalaniu kondolencyjnych rezolucyj w tem przekonaniu, że dobra chęć stanie tu za uczynek. — Obostrzywszy prawo obywatelskiego nadzoru nad pisarzami gminnymi, obrobiwszy kulparkowskie sprawy z nieznaną dotąd hojnością, pięciomilionową pożyczkę na zasilenie kas zaliczkowych zdziesiątkował trzymając się tej zasady, że jak nie ma zkąd pożyczyć — to człowiek musi się obejść, a jak tylko się obchodzi tem co ma, i długów nie robi — to już nie uszczupla majątku narodowego. — Zdawało się, że kraj nic na tem nie straci, jeżeli da gwarancye pożyczce dla biedniejszych, jednocześnie zabezpieczywszy dobrze swe prawa. — O ile mogliśmy zrozumieć znaczenie projektu Wydziału krajowego, nie żądano innej ofiary ani ryzyka — a jednak tylu znakomitych mowców napsuło sobie dość krwi, sprzeciwiając się podobnej lekkomyślności narodowej i ledwie utargowano 500.000 zł., dla zatkania ust krzykaczom. — W sprawie ustawy górniczej o dobywaniu wosku ziemnego i nafty, jeden z posłów dowodził, że właśnie z braku takiej ustawy przemysł naftowy niezmiernie się rozwija w Galicyi, a zatem ustawa niepotrzebna bo sprowadzić by mogła do kraju obce kapitały (i zapewne niekatolickie), których my się boimy jak ognia. — Nie mówi się już o ustawie melioracyjnej, dla niej nawet dobra chęć wobec uczynku byłaby zbyteczną, ale za to nad ustawą drogową nasłuchaliśmy się tylu wyczerpujących dysput, tylu zapewnień o formalnym zakochaniu się chłopów w dawnej ustawie, iż nie zdziwiło nas gdy jedna wielka wielkość sejmowa, której przecie nikt o chłopomanią nie posądzi — raczyła powołać się na taką powagę w dziale ekonomii społecznej jaką jest u nas pan Kowbasiuk. Powtarzając dwukrotnie jego wiekopomne słowa: „Naj bude, jak buwało“ — czyli mówiąc innemi słowy, niech chłopi reperują drogi, jak dotąd, a dwory niech dają tylko drzewo na mosty, szanowny mowca wśród powszechnych oklasków kompletnie zamknął usta pseudo postępowym nowatorom.

Rozpamiętywując dalej nieszczęśliwe przygody ubiegłego tygodnia, musimy wspomnieć o upadku Gambetty, nie tego który miał uroczystą mowę w Grenoble, ale tego wypuszczonego ze Strzeleckiego ogrodu. Pan Damm, po dwakroć ostatni raz dla przyjemności Lwowian, w tym tygodniu losy swe łączył z losami Gambetty, a ostatecznie nawet bez łódki przyczepił się do nóg jego i wzbił ponad obłoki. Bujając tak w wysokich sferach przypadkiem stracił kotwicę, i możecie sobie wystawić jego przerażenie, gdy mimo najszczerszych chęci nie mógł upaść. Dopiero gdy jeden z przyjaciół śledzący śmiały lot powietrznego żeglarza odważył się scyzorykiem nadwerężyć całość pana Gambetty — runęli obadwaj pod murami Hołoskowa. — Kto umie z filozoficznym spokojem zapatrywać się na bieg wypadków świata tego, dojdzie do przekonania, że jeżeli kogo los przyczepi do jakiej wielkości ziemskiej, powinien przedewszystkiem dobrze umocować do niej swoją kotwicę jako symbol nadziei, — a nie robić tak jak pan Damm zrobił powierzywszy całość swą klapie bezpieczeństwa. Jakkolwiek z ośliwi ludzie nadzieję czyli kotwicę nazwali matką głupich, jednak jak się pokazało i bez tej głupiej nadziei porządnie upaść nie można. — Jakoż nie szukając dalekich przykładów, dość wspomnieć na niefortunne losy redaktora „Słowa“ niejakiego pana Płoszczańskiego. I on też nadzieje swoje przyczepił do petersburgskiego balonu z kotwicą okutą w Domu Narodnim. Zawiał inny wiatr w tym wielce szanownym gmachu, i pan Płoszczański od razu znalazł się sam jeden na takiej wysokości, z której ma zamiar niezależnie kontrolować wszelką działalność ruskich instytucyi we Lwowie. Kotwicy już nie ma, ale balastu mu pewnie nie zabraknie, więc sprobuje czas jakiś sypać poczciwym Rusinom piaskiem w oczy, dopóki przyjaźny wiatr nie zapędzi go znów nad brzegi Newy, gdzie już tylu galicyjskich boryteli znalazło swoje uszczęśliwienie.

Podług zapewnienia „Gazety Narodowej“ i „Dziennika Polskiego“ mieliśmy w tych dniach jeszcze jeden bardzo drażliwej natury upadek gustu publicznego. W teatrze dawano „Pannę służącą“, o której przez całe dwa tygodnie mówiło się bez ceremonii, że jest ekstraktem skandalu, i że nawet wiekowe damy przy wymówieniu tej nazwy sztuki powinny sobie uszy bawełną zatykać. Nie powiemy aby tego rodzaju reklama cichaczem przez sfery interesowane rozpuszczana była nowością, wszak jegomość Lucyper jeszcze w raju przy drzewie wiadomości złego i dobrego użył tego samego fortelu z panią Ewą, ale że udała się zupełnie i przyniosła przeszło 900 złr. teatrowi dochodu, w tem leży cała zasługa Dyrekcyi... Ciekawe Lwowianki zrobiły na złość, i zajęły dwie trzecie miejsc w teatrze, ubawiwszy się tłustemi konceptami do syta. Jesteśmy przekonani, że wychodząc ztamtąd nabrały tego przekonania, iż nie warto przyjmować uczciwej i ładnej pokojówki do służby, bo ta nolens volens stanąć musi w obronie honoru swych chlebodawców, zabierając kochanka pani dla siebie... Jak różne są drogi, które wiodą do Rzymu, tak różne są sposoby umoralnienia à la Paul de Coq zepsutego społeczeństwa; dla tego prowadźcie szanowne damy córeczki wasze na takie arcydzieła, niech poznawszy złe w całej ponętnej brzydocie nabiorą rzetelnego wstrętu do oszukiwania przyszłych mężów, bo dziś wobec spopularyzowanej w ten sposób moralności, nie można się już zastawiać starodawną maksymą, że niewiadomość grzechu nie czyni.

Zdaje się, że mimo niewytłumaczonego sknerstwa komisyi budżetowej, teatr dostanie większą subwencyą na utrzymanie opery, inaczej bowiem nie sprowadzałaby dyrekcya takich słowików włoskich... jakim jest pan Graziosi i jaką ma być panna Bossi. Wprawdzie pani Skalska podług zapewnień recenzenta, w roli Gildy przeszła oczekiwania, a choć wypiera się i nie pozuje na primadonnę, jednak jest *nietajoną radością* dla prawdziwych znawców muzyki. Jej tryl jakkolwiek nie podług form *bity*, (czy to czasem nie jest mowa o białku bitem w formie na legominę) jest tak misternym, że go porównać można do szczebiotu ptaszęcia lub gruchania synogarlicy. Otóż taką jest dziś pani Skalska, a co to z niej będzie, gdy dyrekcya sprowadzi z Włoch zapowiedzianego nauczyciela, który ją podobnie jak to robi pan Graziosi nauczy *atakowania* wyższych tonów i rozpoznawania *koloru głosu?* Obawiamy się tylko, czy te wyższe tony nie zrobią jej tego samego figla jakiego już zrobiły panu Graziosi odparłszy wszystkie jego ataki z niepohamowaną brawurą!

Uniwersytet lwowski i Akademia Politechniczna otwarły już podwoje dla chciwych wiedzy słuchaczów; również i Zakład Ossolińskich zdał sprawę doroczną ze swoich czynności. Ze sprawozdania odczytanego przez p. Klemensa Kanteckiego, płynie to pocieszające przekonanie, że zakład ten ciągle wzbogaca swe zbiory i rozszerza pożyteczną działalność na coraz większe koło czytelników i uczonych pragnących korzystać z tak dobroczynnej dla Lwowa instytucyi. Inwentarz dzieł drukowanych unikatów dochodzi już liczby 72285, dubletów 4692, rękopismów 2777 nie wliczając archiwum Mniszchów odkrytego jak wiadomo przed dwudziestu kilku laty na strychu karczmy żydowskiej w Laszkach murowanych, a wynoszącego przeszło sto tomów ważnych materyałów historycznych. Pracownia naukowa i czytelnia górna liczyły w tym roku nierównie więcej gości niż w innych latach, wydano im bowiem przeszło dziesięć tysięcy tomów do czytania i studyowania. Muzeum w tym roku znakomite otrzymało dary, między którymi pierwsze miejsce zajmuje wspaniały namiot turecki zdobyty przez Jana III pod Wiedniem, ofiarowany przez hr. Maryę z Sanguszków Potocką. Stan majątku zakładowego również pomyślny wykazuje rezultat: mianowicie zaoszczędzenie kwoty 3446 złr. z dochodu nad wydatkami; a jakkolwiek nie leży tego rodzaju robienie oszczędności w przeznaczeniu zakładu, to jednak spodziewamy się, że Zarząd potrafi użyć jej w sposób najodpowiedniejszy dla dalszego rozwoju tej światło niosącej instytucyi.

TEATR.

(„Po śmierci cioci“, komedya w 3 aktach przez Michała Bałuckiego).

Swięte rzeczy mają tę własność, że jeśli ubierze się w nie blaga, chciwość, pycha lub coś podobnego, to wyglądają one w tym świątecznym stroju stokroć nędzniej i wstrętniej, niżeli w swoim codziennym. Do tych rzeczy należy poezya, i jeżeli prawdziwych wieszczów najwyżej zwykliśmy stawić w naszym

Panteonie, to półgłówek i pyszałek, chwytający święty bardon i strojący miny wieszcza, powinien w naszych oczach uchodzić za świętokradzcę.

Przedewszystkiem jednak potrzeba nietylko umieć czuć prawdziwą poezyę, ale i umieć odróżnić ją od blagi poetycznej. Na nieszczęście zdolności tej nie posiadamy w wysokim stopniu; rozkołysani pięćdziesięcioletniem panowaniem romantyzmu, dawaliśmy się łatwo oszukiwać poetycznej frazeologii i gotowi byliśmy uwielbiać najlichsze wyroby rymotwórczego rzemiosła.

Od lat kilku w tej mierze nastąpił zwrot stanowczy. Z niedowierzaniem bierzemy do ręki każdy nowy tomik poezyi, a często rzucamy go, nie czytając, z góry już pewni, że w najlepszym razie prócz zimnych komunałów nic tam nie znajdziemy. Najczęściej niestety, nie mylimy się ani na włos w tem przypuszczeniu.

Wyrazem tego nowego zwrotu jest komedya Bałuckiego „Po śmierci cioci". Tytuł ten dany jest jakby odczepnego, ponieważ trzeba było jakoś nazwać komedyą, ale właściwie powinna się ona nazywać „Blagierem poetycznym" albo „Poetą blagierem". Chodzi tu bowiem głównie, a prawie wyłącznie o konterfekt takiego pana.

Pana Juliusza zastajemy w domu pana Poczciwskiego, jak oczarowawszy poetyczną prozą i frazeologią jego córkę, wynurza jej swoją miłość. Panna Zofia ma znaczny posag, przynajmniej Juliusz spodziewa się tego, i to jest kamień węgielny tej miłości. Dziewczyna naturalnie wierzy święcie w bezinteresowność poety, którego miłość nietylko ją uszczęśliwia, ale i do najwyższego stopnia jej schlebia. Dla tego deklamatora zapomina o swoim kuzynku i niemal narzeczonym, Karolu, zacnym, szlachetnym chłopcu, którego przez jakiś czas interesa trzymały z dala od domu Poczciwskiego. Z tego to oddalenia skorzystał przyjaciel Karola Juliusz, aby owładnąć dziecinnem sercem panienki. Karol powraca i znajduje zupełną obojętność tam, gdzie zostawił przywiązanie.

Ale Karol ma sprzymierzeńca w Sabinie, przyjaciółce Zofii, która właśnie przybywa do Poczciwskich i dowiaduje się, że pan Juliusz, który przedtem jej poświęcał swoje uczucia a potem nagle (dla braku mamony) zwrócił je w inną stronę, że p. Juliusz jest teraz współzawodnikiem Karola. P. Juliusz nie wie o dwóch rzeczach: że Sabina otrzymała wielki spadek po śmierci cioci i że przed pół rokiem wyszła za mąż. Sabina ukrywa starannie przed Juliuszem drugą wiadomość, pozwalając mu się dowiedzieć o spadku. Następuje nagły zwrot w uczuciach Juliusza, z którego Sabina korzysta, aby go w prawdziwem świetle pokazać przyjaciółce. Zofia napowrót zwraca się do Karola, a Juliusz w chwili, gdy się czuł pewnym otrzymania ręki wzgardzonej przedtem kochanki dowiaduje się, że Sabina ma już męża. Jednocześnie to samo rozczarowanie spotyka i pana Poczciwskiego, ojca Zofii, starego egoisty, któremu się zdawało, że Sabina upodobawszy sobie jego stateczność, chce zostać jego żoną.

Charakterystyka poety-blagiera, stanowiąca główne zadanie komedyi, opracowaną jest misternie, i w wielu rysach bardzo szczęśliwą. Do najszczęśliwszych należy to, że Juliusz nietylko innych okłamuje, ale i sam przed sobą odgrywa rolę wieszcza i na wszystko zapatruje się ze stanowiska sztucznej poetyczności. Bez tego byłby prostym kłamcą i oszustem, bardzo mało zabawnym. Przeciwnie wiara w siebie i nie poczuwanie się do winy czyni Juliusza zajmującą postacią i wlewa dużo humoru w różne sytuacye. Co to naprzykład za wyborne słowa, które Juliusz mówi sam do siebie, doznawszy upokorzenia od Sabiny, o której nie wie jeszcze, że odziedziczyła majątek: „Jak ta kobieta nisko w moich oczach upadła!" Cały teatr na te słowa zaśmiał się jednomyślnie.

Ale wyszydzając blagę poetyczną autor za mało pamiętał o maluczkich, ktṓrzy mogą sądzić, że chce on wyśmiać wszelką poezyą. Jest tam wprawdzie kilka słów zastrzeżenia ze strony autora, ale to za mało dla widza. Tam gdzie widzimy smaganie frazeologów, chcielibyśmy widzieć i hołd oddany prawdziwej poezyi.

Charakterystyka Poczciwskiego nie jest dość jednolita, Poczciwski ten jednak jest figurą, na którą widz patrzy z zajęciem. Za to blade są postacie Karola, Zofii, a nawet postać Sabiny nie jest dość wyrazistą.

Akcya żywa i zręcznie prowadzona słabnie w połowie sztuki i przez chwilę zdaje się, że nie wystarczy jej wcale na akt trzeci. Ale niebawem ożywia się na nowo i widz z wielkiem zajęciem śledzi ją do końca sztuki, która zamyka się z należytym aplombem.

P. Kwieciński wybornie grał Juliusza. P. Podwyszyńskiemu zarzucano, że w jego Poczciwskim za wiele było Harpagona, pojedyncze jednak ustępy znakomicie były opracowane. Z wielkiem ożywieniem grała pani Parżnicka rolę Sabiny i zjednywała sobie rzęsiste oklaski, zdaje mi się jednak, że więcej spokoju w grze byłoby tę rolę wyżej podniosło. Parę poważnionych i pojednanych kochanków reprezentowali: p. Pieniążek i p. Kwiecińska, przyczem należy zanotować, że w grze pana Pieniążka było daleko więcej swobody, niż zwykle. *J. T.*

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

*** *Bartnik postępowy.* Pismo poświęcone pszczelnictwu i ogrodnictwu, wychodzi we Lwowie pod redakcyą profesora uniwersytetu T. Ciesielskiego. Nr. z d. 1. października zawiera: Walne zgromadzenie galicyjskiego towarzystwa pszczelniczo-ogrodniczego i Wystawa w Brodach. Protokół z pierwszego posiedzenia walnego zgromadzenia. Czego nam potrzeba? Ruch Stowarzyszeń. Korespondencya z Kań, z Słonimskiego. Rozmaitości. Ogłoszenia.

Bardzo cenne to pisemko kosztuje całorocznie 2 złr., zasługuje, aby się znajdowało w każdym domu wiejskim, a swojemi radami z doświadczenia czerpanemi sowicie nagrodzi każdemu rolnikowi ten mały wydatek. Rozpowszechnienie zaś pisemka nie mało może się przyczynić do podniesienia bogactwa narodowego.

*** *Joachima Lelewela zasługi na polu geografii,* przez Stan. Warnkę. O cennej tej publikacyi pomówimy obszerniej na innem miejscu.

*** Opuścił już druk tom I. Biblioteki filozoficznej: Renata Kartezyusza *Droga do prawdy.*

*** Nakładem księgarni Wł. Bełzy wyszły z druku: *Wieczory starego żołnierza,* opowiadania Ezechiela Berzewiczego, autora *Wspomnień podporucznika.*

*** *Ruch społeczno-ekonomiczny* wychodzący w Poznaniu rozpoczął z październikiem czwarty rok swego istnienia. Nr. 1. zawiera treść następującą: Słówko o cle ochronnem Spółki. Początek stowarzyszeń albo spółek zarobkowych i gospodarczych. Pomoc własna. Bank rolniczo-przemysłowy w Poznaniu. Zabezpieczenia. Rozmaitości.

*** *Praca,* dwutygodnik poświęcony sprawom drukarskim, wychodzi we Lwowie od lipca b. r. (prenumerata kwartalna 60 ct.) Nr. 8 z dnia 15. października zawiera: Nauka i jej stanowisko wobec klas pracujących. Korespondencye. Rozmaitości.

*** *Dziennik kobiety,* nową powieść Feuilleta, która zyskała wielki rozgłos w Europie drukują w polskim przekładzie „Dziennik Polski" i „Kuryer warszawski".

*** *Trafiła kosa na kamień,* nowelkę Jeske Choińskiego podaje w fejletonie „Gazeta Narodowa".

*** *Strzecha* rozpoczyna druk ostatniej powieści Zygmunta Kaczkowskiego pt. Graf Rak.

*** Sławne dzieło znakomitego geografa niemieckiego Oskara Peschla pt. *Historya wielkich geograficznych odkryć,* poświęcone przeważnie opowieści odkrycia Ameryki wyszło w polskim przekładzie dokonanym przez Józefa Tretiaka nakładem Księgarni Polskiej. Jest to niewątpliwie najdoskonalszy opis tego wielkiego dziejowego wypadku.

*** Ukaże się podobno wkrótce ostatnia serya widoków Napoleona Ordy, w której zebrane będą widoki z poznańskiego.

*** Ukaże się wkrótce w druku broszura pana Sandeckiego, popierająca i rozwijająca projekt fabryki krawieckiej, mającej produkować towar na wywóz do Rossyi.

*** Pan Walery Przyborowski, znany literat, uprasza za pośrednictwem redakcyi naszej każdego, ktoby posiadał jakie wiadomości, dokumenta, listy lub autobiografie poetów: Stanisława Trembeckiego, Konstantego Gaszyńskiego i Edmunda Wasilewskiego, ażeby takowe zechciał nadesłać pod jego adresem, zapewniając, że wszelkie akta wyżej wymienione zostaną zwrócone po odpowiedniem zużytkowaniu, z wdzięcznością i w całości właścicielom. Wszystkie pisma polskie zagraniczne proszone są o łaskawe powtórzenie niniejszej odezwy. *Adres:* Walery Przyborowski. Warszawa, Podwale nr. 10.

*** Ukazały się w handlu księgarskim dwa nowe tomy poezyi J. S. Chamca pt. *Która?* poemat i *Czem chata bogata* zbiór pomniejszych utworów poetycznych tak oryginalnych jak i tłumaczonych. Tego autora wyszły dawniej: *Próby rymotwórcze* 2 tomy. *Dąsy starego patryoty i Książka sonetów.* Autor przebywa stale we Francyi zkąd pracami swojemi zasila pisma polskie.

*** *Bank rustykalny* II. przez Teofila Merunowicza. Niedawno donosiliśmy o broszurze p. Merunowicza pod tym tytułem, obecnie wydał drugą w odpowiedzi na obronę banku. Pan Merunowicz robi zarzuty bankowi bardzo seryozne i daleko idące. Gdyby zarzuty te nie miały podstawy bank rustykalny nie broszurą ale powołaniem autora przed kratki sądowe broniłby swojej niewinności. Dziwnie że prasa nasza obojętnie się zachowuje wobec tej sprawy.

*** *Kosmosu* Czasopisma polskiego towarzystwa przyrodników imienia Kopernika wychodzącego pod redakcyą prof. Br. Radziszewskiego, opuścił prasę zeszyt 7. 8. 9.

*** Dwutygodnik „Niwa" rozpocznie drukować w krótkim czasie studyum p. Elizy Orzeszkowej o powieściach T. T. Jeża.

*** Litwos (Henryk Sienkiewicz) po dwumiesięcznym pobycie u wod w Normandyi, powrócił obecnie do Paryża, gdzie, jak się dowiadujemy z listu prywatnego, przemyśla o nowych podróżach, do Konstantynopola i na Wschód.

*** Wiktor Hugo kończy dwa nowe tomy poezyi, które wyda w początkach zimy, pt. „Toute ma lyre".

*** Dr. pr. Gustaw Roszkowski znany z licznych prac naukowych, przygotował do druku przekład Waltera, prof. w Bonn, Historyi filozofii prawa.

*** W publikacyi rosyjskiej „Ruskaja Starina" spotykamy rzecz pana Sosnowskiego. pod tytułem: „Joachim Lelewel, jako krytyk „Historyi państwa rosyjskiego" Karamzyna. Korespondencya z Bułharynem.

*** Biskup Krasiński, będący na wygnaniu, przygotował obszerny dykcyonarz synonimów języka polskiego, równolegle do jego rozwoju, to jest poczynając od psałtarza królowej Zofii, aż do epoki Mickiewicza. Obecnie dowiadujemy się, że dostojny autor, wstrzymał druk swojej pracy, chcąc uzupełnić takowy wzorami czerpanemi z pisarzy współczesnych. Francuzi oddawna już mają opracowane synonimy (przez Guizota), podobnież jak Niemcy (przez Tayta) i u nas tylko ta część językoznawstwa pozostała w zaniedbaniu, dla tego z niecierpliwością należy oczekiwać ukazania się użytecznego dzieła biskupa Krasińskiego.

*** Satyry. Wśród posuchy na poezyą, stęskniona muza wychyliła czoło, w postaci natchnienia dydaktycznego, nie pozbawionego soli atyckiej. Są to satyry Stefana Baryczki, wydane przez firmę Gebeth-

nera i Wolfa. Dotąd ukazała się serya pierwsza, z zapowiedzią następnej.

*** Słownik języka hiszpańskiego dotąd w literaturze naszej nieistniejący, może niezadługo zyskamy. Kilka osób język pomieniony posiadających, pracuje obecnie nad ułożeniem dykcyonarza, do którego ma być dołączoną, jako wstęp, krótka gramatyka i zasady wymawiania. Dzieło pomienione dokonywa się na wzór dykcyonarza akademii (podług narzecza kastylskiego); przy każdym wyrazie będzie przekład polski oraz francuski (dla ułatwienia przez porównanie).

Szkoły.

*** Uniwersytet lwowski. Mamy przed sobą ogłoszony świeżo drukiem „Skład uniwersytetu“, tudzież „Program wykładów“ na r. 1878/9. Podajemy z tego ważniejsze szczegóły. Na fakultecie teologicznym jest: profesorów 9, nauczycieli 2, adjunktów 2. Na prawno-administracyjnym: profesorów zwyczajnych 7, nadzwyczajnych 3, docentów 7. Na filozoficznym: profesorów zwyczajnych 12, nadzwyczajnych 3, docentów 6. nauczycieli 4. Ogółem: profesorów, docentów i nauczycieli 55. Wykładów zapowiedzianych w fakultecie teologicznym 17, prawno-administracyjnym 27 i 3 ćwiczenia seminaryjne, w filozoficznym 51 wykładów 5 ćwiczeń. W kursie letnim br. było słuchaczów: na wydziale teologicznym 229, prawno-adminisrtacyjnym 588, filozoficznym 124, ogółem 941. Rektorem na r. b. jest jak wiadomo dr. Leon Biliński, prorektorem dr. Zygmut Węclewski; dziekanami: ks. Sylwester Sembratowicz z wydziału teologicznego, dr. Leonard Piętak z prawniczego, dr. Wawrzyniec Żmurko z filozoficznego.

RÓŻA Z TUOLUMNE.

Nowella

przez

BRET-HARTA.

(Dokończenie).

II.

Nazajutrz przed południem opowiadano sobie w Four-Forks, że w Chemisel-Ridge jakiś zbój napadł i ranił Ridgewaya, a za zbliżeniem się dyliżansu uciekł. Widocznie to tłómaczenie wypadku zadawalało Ridgewaya, gdyż bynajmniej mu nie przeczył. Rana była głęboka i bolesna, ale gdy się dowiedziano, że życie nie jest zagrożone, to wszyscy się uspokoili, mówiono nawet, że do pewnego stopnia nieszczęście owo tłómaczy się tem, że Ridgeway jest cudzoziemcem. Powinien zatem przyjąć je jako naukę a i dla innych będzie to dobrą przestrogą. Wyrażano się o zbójeckim napadzie na przybysza z San-Francisko, jak o bokserskiej utarczce. Wyglądało to tak, jak gdyby morderca wystąpił tu był w obronie interesów hrabstwa Tuolumne. Co się tyczy Ridgewaya, ten nic w tej mierze nie powiedział, prócz słów, które mu się wymknęły, kiedy go podniosła Jenny. Za każdym razem, kiedy ta usiłowała wydobyć z niego jakikolwiek szczegół, który mógł wprowadzić na trop, kto był napastnikiem, zawsze tylko złośliwe i prawie nieufne spojrzenie było jedyną jego odpowiedzią. Jeżeli się do pokoju przypadkiem mięszał i Mac-Closky, to Ridgeway z mnóstwem przekleństw rzucał mu na głowę pantofle i inne rzeczy, które miał pod ręką.

— Zdaje się, że kuracya idzie dobrze, Jenny — rzekł pewnego razu p. Mac-Closky, dziś bowiem rano mógł już rzucić na mnie lichtarzem.

Ostrożne zachowywanie się miss Jenny, było zresztą prawie równie dziwne, jak uporczywe milczenie Ridgewaya. Kazała przysiądz ojcu, że nie powie nigdy młodzieńcowi, jakim sposobem wszedł on do ich domu; kiedy wchodziła do pokoju rannego dla wyświadczenia mu jakiej przysługi, to zawsze przepraszała za niedyskrecyą i tytułowała go ceremonialnie panem. W miarę jak wyzdrawiał, coraz mniej czuwała nad nim, a za to bardziej niż kiedykolwiek była zajętą obowiązkami gospodarstwa. Ridgeway wkrótce tylko po delikatności wyszukanych potraw mógł poznawać, że Jenny dbała o niego. Przyjmowała wiele wizyt, dom jej odwiedzało wielu dawnych wielbicieli, wesołe towarzystwo tańczyło, jeździło konno, urządzało przechadzki, pikniki. W stosunku do Ridgewaya Jenny okazywała prawie przesadną bezinteresowność. Naprzykład gdy jego fotel mógł być wytoczony na werandę, to sama mu przedstawiała, wśród przezroczystych insynuacyi, miss Lucy Ashe, siostrę swego narzeczonego, swawolną brunetkę, której powołaniem było rozdzierać wszystkie serca; potem nagle wśród powszechnej wesołości, której dokoła siebie wzbudzała, miss Jenny przypominała obietnicę daną Robinsonom, że tydzień u nich przepędzi. Pobyt tam, jeżeli mamy jej wierzyć, był nadzwyczaj przyjemnym; jednakże ojciec, przyjechawszy po nią, znalazł ją zmienioną i widocznie cierpiącą.

— Za wiele się bawiłam — mówiła mu, żeby go zaspokoić — uroczystości następowały po sobie bez przerwy; rzecz bardzo naturalna, że korzystałam z resztek mego panieństwa. Jak tylko zostanę żoną Johna, oboje zrobimy się bardzo poważni. Znasz zapewne jego pojęcia, trochę oryginalne, o godności życia i o obowiązkach kobiety w domu? Jak się ma pan Ridgeway?

Ojciec odpowiedział, że Ridgeway ma się dobrze, tak dobrze, że mógł odjechać do San Francisko.

— Kazał się polecić twojej pamięci, Jenny; to są własne jego słowa — dodał Mac-Closky radząc się wzrokiem jednego ze swoich olbrzymich trzewików.

Jenny zdawała się być radą z tego, że Ridgeway miał się lepiej, radą, że czuł się już na siłach aby powrócić do swoich przyjaciół, którzy musieli być o niego niespokojni, była bardzo radą.

— A teraz — powiedział Mac-Closky — nic cię nie nagli do powrotu, moja droga; możesz przedłużyć wakacye, dokąd ci się podoba.

Na to miss Jenny podniosła głos, ażeby zrobić uwagę, że bynajmniej nie wyraziła życzenia, żeby pozostać u Robinsonów, ale jeżeli jej obecność w domu była niemiłą, jeżeli własny ojciec starał się jej pozbyć jeszcze przed dniem, tak bliskim, w którym miał ją na zawsze utracić, to była gotową wypełnić jego wolę.

— Mój Boże! Jenny! Miejże litość nademną, drogie dziecko! — zawołał Mac-Closky tym razem na dobre wyrywając sobie brodę, — przecież nic podobnego nie powiedziałem. Myślałem, że ty....

— Dość, mój ojcze, dość, — powiedziała Jenny ze wspaniałomyślną miną — nie zrozumiałeś mnie, nie mogłeś mnie zrozumieć; nie jest to twoja wina, jesteś mężczyzną!

Mac-Closky, zasmucony, chciał wystąpić z jakąś ogólnikową protestacyą; ale Jenny sposobem kobiecym ulżywszy sobie przez zastosowanie ogólnikowego argumentu do osoby, przebaczyła mu i uściskała go.

Niemniej przeto, gdy córka wróciła do domu, Mac-Closky nie przestawał jej śledzić niespokojnem okiem; czasami nawet chodził za nią krokiem ciężkim i bojaźliwym, a z nienacka ją zaskakując podawał tak niezręczne preteksty, że ona sama czuła się za niego zakłopotaną.

Niebawem zaczął ją śledzić i w nocy. Błądził po domu jak utrapiona dusza, chodząc tam i nazad po korytarzu, z którego wchodziło się do pokoju Jenny. Pewnego razu sen zachwycił tego czujnego ojca pod progiem pokoju Jenny, która wcześnie się zbudziwszy, znalazła go tam uśpionego na dywanie.

— Obchodzisz się ze mną, jak z dzieckiem — powiedziała wzruszona.

— Wybacz, ale zdawało mi się, że słyszałem szmer jak gdybyś się przechadzała po pokoju i słuchając tego, zdrzemnąłem.

— Kochane stare dziecko! — rzekła Jenny, unikając spojrzenia ojca i przesuwając palce między siwemi puklami jego nieuczesanej czupryny — poczóbym się miała przechadzać?

— Nie wiem tego, bałem się jakiegoś niebezpieczeństwa.

— Nawet w razie niebezpieczeństwa, czyżbym się sama nie potrafiła obronić? Przypatrz że się, o ile większą jestem od ciebie — powiedziała prostując się. Potem nagle potarła mu głowę obu rękami, uderzyła lekko po grzbiecie i weszła do swego pokoju.

Rezultatem tego sympatycznego porozumienia się i dwóch czy trzech innych w tym samym rodzaju była zmiana w manierach pana Mac-Closky, jeszcze bardziej od pierwszej niezwyczajna. Nabrał szalonej wesołości, płatał grube figle służącym, opowiadał historye bez początku i końca; osłabiony umysł jego niezdolny był konsekwentnie myśli do końca doprowadzić; przypominał sobie coś, co mu się wydawało bardzo śmiesznem, a co w końcu okazywało się nie mającem związku z okolicznościami. Widząc że Jenny nie śmieje się doń ochoczo, szukał ludzi znanych z dobrego humoru i miał stałe postanowienie nakręcać ich do śmiechu, jak swoją harmonikę do muzyki. Jednakże za domem i w nieobecności córki bywał milczący i roztargniony.

W jakiś czas potem miss Jenny usłyszała pewnego wieczora dwa słabe, bojaźliwe puknięcia do drzwi, po których poznała ojca.

Otworzyła; przed nią stał ojciec, z walizą w ręku w stroju podróżnym: Tej nocy biorę dyliżans, dyliżans z Four-Forks do Frisco.*) Być może, że się zatrzymam u Johna. Za tydzień będę z powrotem. Do widzenia!... do widzenia!... Trzymał ją jeszcze za rękę. Nagle wprowadził ją do pokoju, starannie drzwi zamknął za sobą, i spoglądając w koło siebie z przebiegłą miną, powiedział

— Odwagi, moja Jenny, zaufaj temu biednemu staremu; odwagi a przedewszystkiem milczenie! — Położył palec kościsty na ustach i zniknął.

Było już koło dziesiątej, gdy podróżny dojechał do Four-Forks. W kilka minut potem był już na progu mieszkania, które „Strażnica z Four-Forks“ nazwała przez grzeczność pałacem Ashów.

— Masz dwie godziny do rozporządzenia, mój przyjacielu — powiedział do swego przyszłego teścia, ściskając mu rękę — i sądziłem, iż będzie to rzecz naturalna jeżeli je obrócę na pogadanie o sprawach, sprawach zupełnie poufnych.

Mac-Closky był tak zadowolony z tego wstępu, który na długo przedtem był wystudyował i którego się nauczył na pamięć, że powtórzył go dwa razy z rzędu, podczas gdy John Ashe, prowadził go do swego gabinetu. Przybywszy tam poczciwiec złożył walizę na środku pokoju i usiadł, starannie unikając wzroku gospodarza. John Ashe był czystej krwi Kentukijczykiem, wielki, czarny, z twarzą dumną i dystyngowaną. Bardzo drażliwy i skrupulatny, gotów był w najmniejszej drobnostce widzieć rzecz ważną, jeżeli tylko drobnostka ta dotyczyła konwenansów; czekał więc grzecznie na rozpoczęcie rozmowy przez biedaka Mac-Closky. Śmieszność nie istniała dla Johna Ashe, nigdy dziwactwa pana Mac-Closky nie wywołały w nim uśmiechu, jedynym zarzutem, jaki mu czynił zewnętrznie, był brak form światowych.

— Złoto spadło — powiedział Mac-Closky tonem obojętnym.

John Ashe odpowiedział, że spostrzegł już ten fakt w przychodach płuczkarni Four-Forks.

Mac-Closky pociągnął się za brodę i spojrzał na walizę, jakby chciał od jednej lub drugiej zasięgnąć jakiejś ważnej rady.

— Czy nie przypomina pan sobie, abyś miał z kimś na pieńku z powodu układów, które stanęły pomiędzy panem a Jenny?

John Ashe odpowiedział dumnym tonem, że nie potrzebował nikomu dawać lekcyi.

— Widziałem Rance'a, jak krążył dokoła waszego domu tej nocy, kiedym córkę pańską odprowadził z balu, ale pojmujesz pan, że musiał ustąpić przedemną.

— Bez wątpienia — powiedział Mac-Closky, zmrużając oczy. Po pewnem milczeniu zdawało się, że znów zaczerpnął ze swojej walizy natchnienia: — Jedno słowo, John, mam pomówić z tobą, jako z przyszłym zięciem. Po to tu przybyłem. Rzecz dotyczy Jenny...

Poważna i nieco chłodna twarz Johna Ashe rozjaśniła się nagle, co zdawało się przerażać tego, który wywołał to wrażenie.

— Może powinienem był powiedzieć: dotyczy jej matki; ale ponieważ ta ci nie jest znaną, więc jak gdyby chodziło o samą Jenny.

Ashe ukłonił się grzecznie. Mac-Closky z oczyma wlepionemi w walizę ciągnął dalej: — Szesnaście lat temu poślubiłem panią Mac-Closky; było to w stanie Missouri. Utrzymywała, że jest wdową, wdową z dziecięciem. Powiadam, utrzymywała, ponieważ odkryłem następnie, że nie była ani wdową, ani zamężną, jednem słowem, że ojciec dzieciecia był, że tak powiem nieznajomym. Tem dzieckiem była Jenny moja córka.

Nie podnosząc oczu na twarz Kentukijczyka, która się złowróżbną powlekła czerwonością, ciągnął dalej:

— Wiele drobnych rzeczy złożyło się na to, aby mi pożycie domowe uczynić nieprzyjemnem, naprzykład pewne usposobienie mojej żony do łamania mebli, rzucania nożami i przeklinania, gdy była pijaną.

Brwi John Ashe'a coraz bardziej się marszczyły.

— Krótko mówiąc — ciągnął dalej Mac-Closky ze zwykłą swoją dobrodusznością — nie zdawała się spoglądać na małżeństwo z jego najświętszej i najpoważniejszej strony.

---

*) Skrócone San Francisco.

— Przekleństwo! — zawołał John Ashe, powstając z miejsca — dlaczegoż....

— Poczekaj pan. Zrobiłem to co pan chcesz powiedzieć. Tak, po dwuletniem pożyciu postanowiłem zażądać rozwodu; ale w tym samym czasie Opatrzność przyszła mi w pomoc i zesłała cyrk do miasta w stanie Missouri, gdzieśmy mieszkali. Był tam drągal, który naraz trzech koni dosiadał. Moja żona, zawsze smakująca w atletycznym sporcie, uciekła z tym panem, porzucając mnie i Jenny. Kazałem jej powiedzieć, że jeśli mi zostawi Jenny, to będziemy skwitowani. Nie robiła trudności.

— Powiedz mi pan — wyjąkał Ashe zadyszany od gniewu — czyś polecił córce ukrywać przedemną te rzeczy, czyli też ona bez polecenia ukrywała to wszystko.

— Jenny? Ona nie wie nic, ma mnie za swego ojca, matkę za umarłą...

— A więc to pan, który...

— Pozwól pan — powiedział powoli Mac-Closky — nie przypominam sobie, abym prosił kogokolwiek o to, aby się żenił z moją Jenny, nie przypominam sobie nawet, abym się zgodził chętnie na rozstanie się z nią.

John Ashe gniewny, drżący, przechadzał się dużymi krokami po pokoju; wzrok p. Mac-Closky, oderwany wreszcie od walizy z ciekawością śledził za nim.

— Gdzie jest ta kobieta? — zapytał nagle Ashe zatrzymując się.

Oczy pana Mac-Closky powróciły do walizy.

— Pojechała do Kansas, z Kansas udała się do Texas, z Texas przybyła do Kalifornii. Będąc tam wówczas także, dowiedziałem się, że jej interesa nie były bynajmniej w kwitnącym stanie i za pośrednictwem mego przyjaciela Ridgewaya dałem jej trochę pieniędzy.

John Ashe wydał jęk głuchy.

— Pojmujesz pan — ciągnął dalej Mac-Closky — że stała się ona nieco za starą dla ćwiczeń konnych; zajmuje się więc teraz linoskoctwem. Oto jest afisz! — i Mac-Closky rozpinając tłómok, z pod oka spojrzał na Ashe'a — w przyszłym miesiącu będzie grała w Marysville.

P. Mac-Closky wydobył wielki afisz z ilustracyami na tle żółto-niebieskiem.

— Nazywa się teraz panna Migławska, wielka akrobatka rosyjska.

John Ashe wyrwał mu z rąk papier. — Nie przypuszczałeś pan zapewne, nieprawdaż — powiedział z wściekłością zwracając się do Mac-Closky'ego, nie przypuszczałeś pan zapewne, żebym na to wszystko był obojętny?

P. Mac-Closky podniósł cenny dokument, złożył go i schował do walizy.

— Jeżeli uznasz za stosowne zerwać z Jenny — powiedział mu — to pamiętaj, że ona o niczem nie wie; jest kobietą, a spodziewam się, że pan jesteś grzecznym mężczyzną.

— Ale cóż jej powiedzieć? jak odebrać słowo?

— Poczekaj pan, napisz jej, daj do zrozumienia, że dowiedziałeś się o czemś, nie wymieniaj o czem, co zmusza pana do zrzeczenia się jej ręki. Bądź spokojny, moja Jenny nie będzie wymagała objaśnień.

Młodzieniec wahał się. Czuł, że źle sobie z nim postąpiono; żaden gentleman nie akceptowałby podobnej sytuacyi. A przecież czuł się on w tej chwili gentlemanem i uchylił był czoła przed otwartem i spokojnem spojrzeniem Jenny.

— Dość że złoto spadło i tutaj!— jak u nas, powiedział niedbale Mac-Closky. — A przecież założę się, że się podniesie przed deszczami. Dobra noc. — I wstrząsnąwszy ręką, którą mu gospodarz podał machinalnie, opuścił dom jego.

III.

W tydzień potem Mac-Closky wracał do siebie, uszczęśliwiony, że wyzwolił córkę z zobowiązań; wchodząc na werandę, dostrzegł przez szyby jakiegoś mężczyznę w salonie. Pod jego gościnnym dachem nie było to rzeczą nadzwyczajną, dozwał przecież jakiegoś nieokreślonego uczucia niepokoju. Miałaż być miłość u John Ashe'a silniejszą od przesądu? Ale twarz, która się ku niemu obróciła, nie była twarzą Johna Ashe'a: płowa broda, oczy błękitne, lśniące, z namiętnym, prawie dzikim wyrazem; poznał Henryka Rance i niepokój innego rodzaju owładnął nim tak, że już na progu domu zaczął targać brodę. Jenny na spotkanie ojca wyskoczyła do sieni i uściskała go z radośnym okrzykiem:

— Ojcze — powiedziała cicho i prędko — wyobraź sobie pomiędzy mną a Johnem wszystko skończone. Zobacz lepiej sam... ten obrażający list.. Sprawa o której napomyka, jest sprawą z Ridgewayem, nie można wątpić, i teraz skłonniejszą jestem wierzyć, że to jego ręka cios zadała. Posądzałam go niesłusznie — rzekła wskazując głową na Rance'a; — ale ani słowa przed nim, wracam z nim rozmawiać, on zaraz odjeżdża.

Uścisnęła raz jeszcze ojca i weszła do salonu, zostawiając pana Mac-Closky pomięszanego, z listem w ręku. List ten pisany był prawie w tych samych wyrazach, które Ashowi Mac-Closky podyktował. Wziął go z sobą, aby zastanowić się nad nim jak należy i czytał go, zamknąwszy się u siebie, gdy nagle dał się słyszeć galop konia na drodze a natychmiast potem nerwowy i szybki krok na werandzie. Ridgeway, popchnąwszy na wpół otwarte drzwi szklanne, wszedł do salonu, gdzie się znajdował Rance i Jenny. Ta poznała natychmiast zbliżanie się Ridgewaya; nadzieja, zachwyt, niewymowne wzruszenie po kolei zdobiły jej twarz prześliczną. Blada i uśmiechnięta wyszła naprzeciw nowo-przybyłego, ale wzrok Ridgewaya nie zatrzymał się na pięknej dziewczynie, ale roziskrzony, groźny, szukał Rance'a, podczas gdy na ustach jego osiadła nienawiść i wzgarda.

— Przepraszam panią — powiedział jak tylko mógł dobyć głosu, a ten głos zdradzał mięszaninę ironii i pogardy, która Jenny zraniła serce — przepraszam, jeżeli przeszkadzam. Zresztą nie mam zamiaru ani chwili pozostać w jedynem miejscu na świecie, gdzie oto ten człowiek może mi bezkarnie patrzeć w oczy.

Rance wyrzucił jakieś przekleństwo i zerwał się ku Ridgewayowi, ale już Jenny była między nimi.

— Żadnej tu kłótni — powiedziała do Rance'a. — Jeżeli bronię praw mego gościa, to nie zmuszaj mię pan, abym mu przypominała, coś mnie winien, mnie, która go przyjmuję. Co się tyczy pana, panie Ridgeway...

Ten był już daleko. Jenny chciała wezwać ojca, ale go nie znalazła. Rance pozostał panem pobojowiska, źle ukrywając minę tryumfatora.

Jenny z lekkiem drżeniem i stojąc na progu, jakby chciała dać do zrozumienia, że już czas pożegnać się, powiedziała do Rance'a: — Henryku, przypominasz sobie to, o coś mię prosił? Przyjdź dziś do ogrodu około dziesiątej a dam ci odpowiedź, ale pod warunkiem, że mi przysięgniesz nie szukać p. Ridgewaya, unikać go nawet, gdyby on cię szukał, nie mówić z nim dzisiaj pod żadnym pretekstem. Czy przysięgasz? Tak? — To bardzo dobrze.

Rance chciał uchwycić jej rękę, podnieść ją do ust; jednym ruchem zatrzymała go w oddaleniu. Na schodach dał się słyszeć szelest jej sukni, potem drzwi zapadły za nią z łoskotem i Rance zrozumiał, że należało mu cofnąć się. Wieczór był bliski; ale jakże powoli ta godzina rendez-vous nadchodziła! Z jaką niecierpliwością patrzał na wieczór, wychodzący z głębi dolin i roztaczający purpurowe skrzydła na wyżynach. Wachlarzowy powiew nocny odświeżył nieruchome powietrze i zdawał się białą i łagodną dłonią kołysać całą naturę. Ten spokój natury nie udzielał się sercu Henryka Rance; rozłożywszy się pod drzewem morwowem na końcu ogródka nie widział nic, nie słyszał, pogrążony w przepaści podejrzeń, w której żyją zazdrośni.

— Czy przyjdzie? — pytał siebie i sama myśl zobaczenia jej upajała go — czy to był tylko sposób wzięcia w opiekę tego zuchwalca? Gdyby tak było...

Wątpliwość jego nie długo trwała. Jakaś postać kobieca wysunęła się z gęstych krzaków otaczających dom, poszła wzdłuż palissady, nareszcie zatrzymała się w środku alei pod pełnymi promieniami księżyca. Była to ona, jakkolwiek tylko zakochany mógł ją poznać pod wielkim białym welonem, który ją okrywał. Zbliżył się do niej i powiedział z cicha: — Nie stójmy tu w pełnym blasku księżyca, każdy nas może tu obaczyć.

— Nie mamy sobie nic do powiedzenia, coby nie mogło być powiedziane w biały dzień — odrzekła.

A przecież Jenny drżała, zapewne ze wzruszenia:

— Podnieś pan głowę — powiedziała nagle — i pozwól się sobie przypatrzeć. Dotychczas znałam tylko ludzi; chcę zobaczyć, jak wygląda zdrajca.

Błędny wyraz jej twarzy bardziej go uderzył niźli słowa Jenny. Policzki miała wybladłe, zagasłe oczy świeciły chorobliwym blaskiem; była tak groźną, tak podobną do młodej furyi, że zbierała go jakaś niewyraźna chęć ucieczki.

— Co ci jest? — zapytał, cofając się mimowoli.

— Stój — zawołała — nie staraj się umknąć, ani jednego kroku, bo zawołam pomocy; tak, zawołam i ogłoszę cię przed wszystkimi zbójcą, którym w istocie jesteś.

— Walka była uczciwą — powiedział sucho.

— Uczciwą? Więc to uczciwie godzić w bezbronnego?.. Więc to uczciwie pozwalać, aby podejrzenie ciężyło na kim innym? Więc to uczciwie było oszukiwać mię, podły kłamco!

Rance nie był zdolnym do zniesienia podobnych obelg nawet od kobiety. W źrenicy jego błysnęła iskra a ręka sięgnęła nagle w zanadrze.

— Ach — powiedziała Jenny, szukasz noża? Uderz więc! — i otwarła ramiona — uderz nędzniku! Boisz się! Chowasz więc ten nóż przy sobie na to tylko, aby z tyłu godzić na ludzi? Uderz, powiadam ci. Co mię obchodzi życie, kiedy on mnie już nie kocha! Tu — dodała pokazując na pierś — w mych ramionach powrócił on do życia, tu spoczywała jego głowa, i nigdy już żaden człowiek... Ach!..

Zachwiała się, a coś, co błysnęło w rękach Rance'a padło nagle u jej stóp, gdyż i sam Rance w prochu się już tarzał. Zkądeś padł wystrzał, błysnęło, potem nadbiegły dwa cienie i przebiegając po ciele człowieka, który się wił w konwulsyach konania, pochwyciły w ramiona swoje Jenny i uprowadziły ją.

Nad ranem wyszła z głębokiej martwoty, w której dotychczas była pogrążona i zrobiła znak ojcu ażeby się zbliżył.

— Gdzie on? — zapytała.

Ojciec zrozumiawszy pytanie, wyszedł i wrócił z tym, którego córka pragnęła widzieć:

— Teraz bez obawy mogę się oddalić na kilka godzin — powiedział z uśmiechem doktor, którego wezwano; — przy staraniach i ostrożności wszystko pójdzie dobrze.

I w istocie Jenny prędko wyzdrowiała. Natura przyszła w pomoc swemu pieszczonemu dziecku. Ożywcza woń sosnowa, czyste powietrze sierrów uzdrowiły ją tak prędko, jak uzdrawiają rannego jelonka. W parę tygodni potem przechadzała się już wsparta na ramieniu Ridgewaya i kiedy przy końcu tegoż samego miesiąca młodzieniec, wracający z szybkiej podróży do San Francisko wyskakiwał z dyliżansu, to Róża z Tuolumne czekała nań na drodze, świeższa niż kiedykolwiek. Była godzina czwarta rano. Niepowstrzymany instynkt pociągnął ich oboje znów na szczyt wzgórza, które stało się dla nich świętem. Bez wątpienia nie byli teraz tak wzruszeni, jak pierwszym razem. Jest w rodzącem się uczuciu pewien niewypowiedziany zapach, którego już nie wydaje kwiat zupełnie rozwinięty; ale kochankowie, szczerze przyznając się do tego, z rozkoszą porównywali mnóstwo drobnych szczegółów. On jej przypominał różne rzeczy, które sądził, iż uszły z jej pamięci, a ona jemu. Zarówno ze zdziwieniem jak z litością rozmawiali o szarych, bezbarwnych czasach, kiedy się nie znali, kiedy zatem nie żyli prawdziwem życiem i tak rozmawiając i idąc ramię w ramieniu wrócili do domu.

Treść Nr. 60. str.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.)

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.